



Odgłosy Mundialu

Włochy — RFN bez biletu

ANDRZEJ
MAKOWIECKI

Co ja wam będę opowiadał. Kiedy w niedzielę, o dziewiątej rano znalazłem się w Madrycie i wyszedłem z podziemi metra na plac Puerta del Sol, uległem temu samemu wzruszeniu, co Hemingway, który po kilku latach nieobecności odwiedza znowu swoje ukocone miasto. Poznawali mnie wszyscy: pacybuci, kelnerzy z okolicznych barów i restauracji, hazardziści, którzy urządzają w narożnej bilardziarni, sprzedawcy

biletów na futbol i corridę, uliczni muzykanci, sprzedawcy znaczków, żebracy, ba, nawet hostalero, u którego kiedyś mieszkalem.

Otworzył drzwi, postawił oczy w ślup i powiedział głośno, wyraźnie:

— Hola, Makowiecki!

Wpadłem w jego ramiona, myśląc jednocześnie: ejże, abyś tylko nie zdarł ze mnie skóry. I mówię:

— Me alegro! Como estas?

— Bien. Y tu?

— Un pocito cansado. Tienes una habitación, pero... que no sea demasiado cara?

Na twarzy gościa odbija się zakłopotanie: no tak, znowu ta sama historia... Przyjechał nasz kochany Makowiecki, tyle tylko, że jak zwykle z marnym groszem i szuka pokoju za pół ceny.

— Sam jesteś?

— Z kolegą.

— I gdzie ten kolega?

— Czeka z tobą na Galerías Preciados.

— No to dawaj go tu! Aha, że śniadaniem chcesz pokój?

— Tak.

— I z przysięceniem?

— Oczywiście.

— No to będziesz musiał zapłacić... — wymienia cenę.

Zbijam dla zasady dwieście. I ruszam na Galerías Preciados po to moje pięćdziesięcio- pięcioletnie dziecko, które je-

szcze nie jadło śniadanka, trzeba będzie załatwić mu papu, a potem jeszcze zrobić mu prasówkę.

12

Foto.: M. Zajdler

- Wspomnienia z 35 lat ŁWP
- Nasz czas przeszły
- Od kogo i od czego zależy praworządność
- Dyrektor dobry czy dyrektor sprawiedliwy



ODGŁO-SIKI

ORGAN PODAJENTA Solikarpa cena 50gram

- Felietony
- Wywiad z Mobutu

Łódź tygodnik społeczno-kulturalny Odgłosy

NUMER 26 (1279) ROK XXV 1 PAŹDZIERNIKA 1982 ROKU CENA 20 ZŁ

Pytań jest wiele — spróbujemy odpowiedzieć choć na niektóre

LUCJUSZ WŁODKOWSKI

Pytań, oczywiście jest wiele i są bardzo różne. Poczynając od „personalnych”: „dlaczego Jot wszedł, przecież to łobuz, dlaczego mnie tam nie ma, a ja przecież anioł?” — a skończywszy na najbardziej istotnych, bo dotyczących samego sensu ruchu. Spróbujemy może zarejestrować te pytania, a następnie odpowiedzieć na niektóre.

— Kto z kim ma się porozumiewać i w jakim celu?
— Dlaczego to jest ruch, a nie front porozumienia?
— O jakie odrodzenie narodowe chodzi?
— Jest to ruch ogólnonarodowy, a więc ponadklasowy, czy też zachowuje on charakter klasowy?
— Jaki jest stosunek patriotycznego ruchu odrodzenia narodowego do obywatelskich komitetów ocalenia narodowego i do FJN?

— Co to są nadrzędne racje?
— Jak jest miejsce PZPR i innych stronnictw politycznych, ugrupowań społecznych w patriotycznym ruchu odrodzenia narodowego?
— Jak w PRON będzie realizowana przewodnia rola partii?
— Czy to nie jest taktyczny wybieg komunistów?
— Czy to ma być porozumienie formalne i czy nie grozi mu przeistoczenie się w instytucję bez rzeczywistego ruchu?
— Czy rzeczywiście musimy się odradzać?

Takich pytań może być jeszcze więcej. Nie ma powodu mnożyć ich. Myślę, że te, które wymieniałem dotyczą głównych wątpliwości i niełatwo będzie na nie odpowiedzieć. A trudność ta wynika po prostu z faktu, że ruch się staje, że znane są założenia, praktyka dopiero będzie i ona zadecyduje o tym, czy założenia były trafne. Praktyka jest i będzie zawsze sprawdzianem każdej teorii, każdego programu, każdego założenia. Te praktykę tworzą działający ludzie. I dla zgodności założeń z praktyką, dla ścisłego związku założeń z praktyką ważne jest, jak te założenia sobie przyswoili, jak pojęli ich sens.

1. DLACZEGO RUCH?

Zacznijmy może od pytania: dlaczego ruch, a nie front, jak to było pierwotnie zakładane?

Niedawno w „Życiu Partii” sekretarz KC PZPR, Marian Orzechowski próbował wyjaśnić tę kwestię. Przytoczę może jego wyjaśnienie.

„Doszliśmy do wniosku, w ramach Centralnej Komisji Porozumiewawczej, iż w pojęciu „ruchu” zawarty jest element spontaniczności, że w społeczeństwie istnieje zapotrzebowanie właśnie na ruch nie do końca uładowany, „grzeszny”, na elementy konstruktywnej krytyki, służącej ustrojowi, wzmacniającej go, a nie destrukcyjnej, prowadzonej z punktu widzenia socjalistycznego państwa i państwo to umacniającej.”

Inicjatorom ruchu odrodzenia narodowego chodziło o to, że nie może to być twór sztuczny, ruch zinstytucjonalizowany, że musi wynikać ze społecznych potrzeb i te potrzeby mieć przede wszystkim na celu i uważać. Dlatego istotny jest również stosunek PRON do OKON i FJN. Cytowany już Marian Orzechowski powiada, że „obywatelskie komitety odrodzenia narodowego są klasycznym ruchem, a nie zinstytucjonalizowaną formą, frontem czy jakąś inną organizacją”. I to jest prawda, co nie znaczy, że nie powinniśmy dostrzegać braków i niepowodzeń tego ruchu, jego słabości. Jednocześnie oznacza to, że PRON powinien wykorzystać i oprzeć się na tym wszystkim, co w działaniu OKON było pozytywne, dobre i może przyczynić się do pogłębienia procesu odrodzenia narodowego. Podobnie ma się sprawa z pozytywnymi doświadczeniami FJN. Nie wszystko przecież w działaniu FJN było złe. Jego niepowodzenia brały się nie ze złej woli ludzi tam działających, z ich nieporadności, a przede wszystkim ze złożoności sytuacji politycznej i społecznej, z dokonujących się społecznych przeobrażeń, które FJN usunęły na margines życia politycznego.

3 Pomni tych doświadczeń inicjatorzy ruchu odrodzenia narodowego nie problem jedności wysunęli na plan pierwszy, uczynili z niego hasło programowe, a właśnie problem odrodzenia narodowego. Świadczy to o realności założeń, o dostrzeganiu złożoności, podziałów i róż-



Przegląd prasy

WYJĄTKOWO TYM RAZEM

— o czym lojalnie uprzedzam Czytelnika — pełna kolumna (czyli strona) przeglądu prasy, nabrała się bowiem wiele ciekawych pozycji, o których chcielibyśmy poinformować. Tak się dziwnie składa, że prasa tygodniowa choć zalegała kłosa, a zatem nie znajduje uznania u czytelników, przynosi sporo interesującego materiału: artykułów, polemik, sądów, refleksji, dyskusji, wspomnień. Nie do wszystkich to dociera, czytelnik bowiem musi dokonać wyboru, jeśli już decyduje się na kupno tygodników, wszystkiego, co go ewentualnie by interesowało przecież nie kupi — tak jak to czynił dawniej — bo ceny go do tego zniechęcają. Z tego też powodu redakcje zaczynają się zastanawiać nad konkretnym adresem publikowanych artykułów, co powinno w najbliższej przyszłości zdecydować o charakterze ukazujących się periodyków. Powoli więc zaczyna się rozważać nad tym, jaki powinien być model prasy tygodniowej w reformującym się społeczeństwie.

Kilka tygodni temu w „RZECZYWISTOŚCI” (nr 16 z 5 września 1982 r.) Stanisław Kubiak podjął w artykule zatytułowanym „Robotnicy — tajna klasa” podobny problem. Rzecz wszakże nie chodziła o klasę, ale o prasę, która by występowała w imieniu tej klasy i prezentowała jej punkt widzenia.

„NIE MA PRASY ROBOTNICZEJ”

— powiada Stanisław Kubiak. Jest centralna, regionalna, dla wierzących i niewierzących, dla kobiet, bokserów, kibiców piłki nożnej, szachistów i tak dalej. Była wprawdzie prasa związkowa, która miała w założeniu wyrażać robotniczy punkt widzenia, ale tego nie czyniła. Dlatego tak się dzieje? Ano, dlatego, że „biurokracja” i „technokracja” blokuje dostęp do robotników, posiada monopol na informację i dawkuje do ręki informację do prasy (radio i telewizji również) według własnego uznania i potrzeb, mając przede wszystkim na uwadze interes własny. Podobnie zresztą było w prasie „Solidarności”. Stanisław Kubiak opiera się na doświadczeniach „Dziennika Bałtyckiego”, na łamach którego ukazywała się „gazetka Solidarności” — „Samorządność”.

„Już pierwsze kilkadziesiąt numerów „Samorządności” — pisze St. Kubiak — dowiodło, że robotnicy znowu spychani są na margines; zaledwie 5-7 proc. zadrukowanej powierzchni poświęcona była środowiskowi robotniczemu. Dominowały raczej sprawy „wielkiej polityki”, które stały się problemem nr 1”.

Stało się tak dlatego, że „Solidarność” szybko sama wytworzyła własną „biurokrację” i „technokrację”, które równie szybko — naśladując zresztą znane wzory — stworzyły monopol na informację.

Zdarzały się w dziejach prasy takie momenty — na ogół w okresach kryzysowych i napięć społecznych — kiedy dawa się możliwość wypowiedzenia się robotnikom i bierze się pod uwagę ich autentyczny punkt widzenia. Ale później znowu wszystko wraca „do normy”.

„Temat robotniczy” — pisze dalej St. Kubiak — znowu zniknął z tam gazet i czasopism”. Autor jest jednak niezdolny

dowany. Nie potrafi precyzyjnie powiedzieć, czy chodzi mu o prezentowanie robotniczego punktu widzenia w różnych pismach, jakie wychodzą w Polsce, albo przynajmniej w ich większości, czy też domaga się specjalnego pisma dla robotników.

„Nikt też nie organizuje prasy robotniczej — pisze — chociaż są jeszcze redakcje i zespoły dziennikarskie, które wykazują w tej mierze wiele niechęci. Są one jednak wiernie robotniczej sprawie bardziej od strony teoretycznej niż praktycznej”.

Prosiłby się tu przykłady przynajmniej, aby można było dokładnie dojść, o co autorowi chodzi. W innym miejscu pisze on bowiem tak:

„Naprawdę robotnicy nie mieli prasy, która wyrażałaby ich potrzeby, artykułowała ich dążenia, reprezentowała robotnicze racje i kształtowała ich postawy, współorganizowała myśl robotniczą i działanie”.

Te stwierdzenia można uznać za model prasy robotniczej. Jednocześnie każda gazeta, a także większość tygodników mogłaby je wpisać do swego programu. Na dodatek tak się złożyło, że akurat 5 września 1982 roku ukazał się 1 numer „TYGODNIKA ROBOTNICZEGO”. W deklaracji programowej zespołu redakcyjnego można przeczytać:

„Człowiek, jego praca i życie, odczucia i postawy, dążenia i codzienne kłopoty oraz teraźniejszość i przyszłość robotniczych rodzin, to tematy publicystycznej i reporterskiej penetracji zespołu nowego czasopisma...”

Obiektywne i niezależne patrzeć na polską rzeczywistość, wierność realiom, konkretność i rzetelność — oto jak pragniemy kształtować charakter nowego tygodnika. Nigdy też nie będziemy zapominać o troskach ludzi pracy tak mocno uzależnionych od wyników naszego wspólnego, zbiorowego wysiłku”.

Do tej pory wyszły trzy numery „TYGODNIKA ROBOTNICZEGO”, za wcześniej jeszcze na głębszą ocenę, trzeba młodemu piśmiu dać możliwość okrzepnięcia i wykrystalizowania jego charakteru, ale tym niemniej warto zasygnalizować pewne rozczarowanie: te materiały, które ukazały się w owych trzech numerach mogłyby ukazać się w każdym innym piśmie. Mało jest zapowiedzi, że pismo będzie istotnie miało robotniczy charakter, a przez to rozumien, że nie będzie pismem adresowanym tylko do robotników, jakby innych pism nie mogli czytać, bo nie dorastają do tego, ale że będzie wyrażać ich punkt widzenia na to wszystko, co się wokół nas dzieje. A różnica jest to zasadnicza, chodzi bowiem o klasowy, a nie zawodowy punkt widzenia.

Od takiego patrzenia odeszliśmy już dość dawno, zacierając je w rzekomej ogólnonarodowej jedności, dziś próbujemy do tego wrócić, co znowu nie jest tak łatwe. Przykładem na to, aczkolwiek z zupełnie innej dziedziny, jest publikowana w „ZDANIU” (nr 6 z września 1982 r.) fragmenty dyskusji, jaka odbyła się w krakowskiej „Kućnicy”. Dyskusja dotyczyła przygotowywanej „Historii polskiego ruchu robotniczego”. Jej pełny zapis liczy sobie 100 stron maszynopisu, redakcja opublikowała z tego fragmenty, dając im tytuł:

„O HISTORIĘ RUCHU ROBOTNICZEGO W POLSCE BEZ BIAŁYCH PŁAM”

Decyzję o przygotowaniu takiego opracowania podjął już VI Zjazd PZPR z okazji obchodzonej obecnie 100. rocznicy ruchu robotniczego w Polsce. Przygotowywane dzieło ma liczyć 7 tomów i rodzi się z wielkim trudem. W dziejach polskiego ruchu wiele spraw jest pięknych, wzniosłych, ale wiele było przemilczanych, przeinaczonych. Dziś, jeśli chce się sprostać zadaniom, trzeba przede wszystkim oprzeć się na faktach, trzeba ukazać historię wszechstronnie, w jej dialektycznym rozwoju, pełną sprzeczności, ale przecież zawsze ściśle związaną z narodem. Jednak widzenie spraw narodowych w różnych okresach nie było ponadklasowe, jak też nie było oderwane od sytuacji politycznej, międzynarodowej, gospodarczej. Na przykład Jan Sobczak zwrócił uwagę, że u nas wydaje się pisma

różnych twórców myśli socjalistycznej osobno, a „oni działali razem i twórczość korespondowała ze sobą”. Zresztą wielu z tych myślicieli na ogół mało jest znanymi młodym pokoleniom. Celina Bobińska w swojej wypowiedzi ukazała inny paradoks. Oto u nas na ogół mało pochlebnie mówi się o Róży Luksemburg, pamiętając jej poglądy na sprawę narodową czy chińską. Natomiast na Zachodzie znajomość i popularność pism Róży Luksemburg idzie zaraz po znajomości i popularności pism Włodzimierza Lenina.

„Trzeba naszym ludziom wytłumaczyć — powiedziała C. Bobińska — że R. Luksemburg nie była obcą polskości „paskudną Żydówką”, jak to pokazał serial „polskański”. Gdy ktoś coś podobnego napisał o R. Luksemburg w Niemczech, to odezwał się Willy Brandt i napisał, że socjaldemokracja niemiecka nikomu nie pozwoli szkłować wielkiej przywódce niemieckiego proletariatu, a nam nie zależy”.

Widzenie dzieł polskiego ruchu robotniczego w Polsce obrosło mitami i nieporozumieniami. Z jednej strony funkcjonują doradnie dla potrzeb politycznych konstruowane schematy, które często nie mają nic wspólnego z rezultatami naukowych badań, z drugiej niedostateczna znajomość faktów i dokumentów, świadomość, że żyją jeszcze uczestnicy wielu wydarzeń z najnowszej historii ruchu robotniczego, sprawia trudność w przygotowaniu takiej pracy, która nie tylko zadowoliliby wszystkich, ale stałaby się popularna. Z tej przyczyny postulowano, aby niezależnie od 7-tomowego opracowania podjąć pracę nad książką jednotomową, napisaną raczej przez jednego autora, która mogłaby spełnić przede wszystkim funkcję popularyzatorską, gdyż takie są niezbędne.

Marian Orzechowski nie ukrywał trudności, jakie stoją przed historykami, ale też uważa, że są dwie gwarancje, że podjęte przedsięwzięcie uda się:

„Pierwszą — że my sami, historycy, czegoś nauczyliśmy się w tym najstraszniejszym kryzysie. Druga — że nauczyło się czegoś także kierownictwo partii, cała partia”.

Zainteresowanie historią nie maleje. I chyba z tego powodu, jak też zaintrygowany milczeniem pisarza, udał się do Jerzego Putramenta — wysłannika „RZECZYWISTOŚCI” — Jerzy Stanisław Czajkowski, który w nr 19 tego pisma (z 26 września 1982 r.) opublikował zapis rozmowy z pisarzem pod znamiennym tytułem: „Już nie nie pisze...”. A dlaczego Jerzy Putramenta milczy:

„Ja z całą świadomością nie spieszę się z zabieraniem głosu w naszej sytuacji. Musiałem coś zrozumieć z tego, co się dzieje”.

Rozmowa rozczarowuje, gdyż po Jerzym Putramencie można spodziewać się więcej niż kilka enigmatycznych stwierdzeń. Był przecież świadkiem historii. Wiele o niej napisał, ale chyba nie wszystko. Być może jeszcze napisze. Rozumiem, że trudno pisać o żywej jeszcze historii, gdyż trzeba takim piśmiem, czy mówieniem dotknąć ludzi żyjących, poruszyć mity i legendy, ale jest to niezbędne. Przyszłość szybko obrasta legendami. Coś takiego dzieje się z wojną obronną z 1939 roku.

Temat ten powraca z okazji kolejnej rocznicy — niektórzy są już tym zmęczeni, ale widzą konieczność jest mówienie o tym ważnym fragmencie naszych dzieł, aby prawda o walce polskiego żołnierza dotarła do wszystkich. Jerzy Pelc-Piastowski w „PRZEKROJU” (z 19 września 1982 r.) podejmuje więc spór o polską kawalerię, lance i szable oraz o słynne

SZARŻE KAWALERII NA CZOLGI

które najpierw były, później miało ich nie być, a okazuje się, że były, chociaż nie na czołgi akurat. To powiedzenie „o szablach na czołgi” jest pewnym skrótem myślowym mającym unoczniać bezradność i bezsilność polskiego żołnierza, który chciał się bić i bił się, ale musiał ulec wobec militarnej i technicznej przewagi przeciwnika.

Jerzy Pelc-Piastowski w artykule „Szable, lance, szarże”, wyjaśnia, czym była kawaleria w polskim wojsku w 1939 roku, jak była uzbrojona, jakie spełniała zadanie taktyczne. I przypomina słynne szarżę wrześniową 1939 roku. Było ich — jak się okazuje — kilka. Pisze zresztą o tym również Cezary Leżeński w książce wydanej przez KiW w 1978 roku „Zostały tylko ślady podków...”.

Najbardziej jest znana szarża 18 Pułku Ułanów Pomorskich z Grudziądza, który zaatakował w ten sposób nieprzyjaciela, aby powstrzymać jego nacierające na Armię „Pomorze” oddziały. Zadanie zostało wykonane. Dzieje tego pułku polskiej kawalerii opisuje w „FAKTACH” (nr 27 z 18 września 1982 r.) Roman Mechliński. J. Pelc-Piastowski opisuje inną, mniej znaną szarżę 19 Pułku Ułanów Wołyńskich w walkach pod Mokrym. Wszystko to dzieło się na samym początku wojny.

Natomiast 19 września — już po bitwie nad Bzurą — 14 Pułk Ułanów Jazłowieckich ze Lwowa, który najpierw należał do Wielkopolskiej Brygady Kawalerii, a później wszedł w skład Grupy Operacyjnej Kawalerii dowodzonej przez gen. Romana Abrahama, przebił się szarżą do Walczącej Warszawy na linię Młociny — Bielany pod Węglową Wólką. Autor nie wspomina jednak o starciu polskiej kawalerii z kawalerią niemiecką, które to starcie opisuje w „Bitwach polskiego września” (t. II, s. 198-199). Apoloniusz Zawilski, a cytując w swojej książce Cezary Leżeński. Było to 23 września 1939 roku na linii Tomaszów Lubelski — Zamość pod Krasnobrodami. Starli się wówczas ułani 25 Pułku Ułanów Wielkopolskich z niemieckimi kawalerzystami. W trzy dni później nie udało się ułanom 27 Pułku Ułanów im. króla Stefana Batorego, który przed wojną stacjonował w Nieświeżu, szarża na okopy nieprzyjaciela pod Morańcem w rejonie Lubaczowa. Oba te pułki należały do Nowogrodzkiej Brygady Kawalerii.

Ile było tych szarż? Trudno to ustalić. Cezary Leżeński pisze o sześciu, ale nie wspomina o szarży 19 Pułku Ułanów Wołyńskich. Sprawy muszą rozstrzygnąć historycy. Jest ona bowiem niebagatelną dla prawdziwości obrazu wojny obronnej z września 1939 roku.

Póki co, można odnotować sprzeczne opinie o filmie Andrzeja Wajdy „Lotna”. Oto Paweł Wierzbicki próbuje w „TU I TERAZ” (nr 17 z 22 września 1982 r.) osadzić wojnę obronną w międzynarodowych i politycznych realiach w artykule pt. „O polskiej wojnie raz jeszcze” wspomina publicystom, pisarzom i artystom, że zbyt bezkrytycznie przyjęli obraz tej wojny narzucony po części przez „wojenną propagandę niemiecką” i jako przykład tego podaje „Wrzesień” Jerzego Putramenta oraz „Lotną” Andrzeja Wajdy. Natomiast Jerzy Pelc-Piastowski pisze tak:

„...relacje uczestników szarż, wypisz wymaluj zgadzają się z treścią filmu Andrzeja Wajdy „Lotna”. Dobry ten film, raczej ballada o Wrześniu, osadzony w jego kłwałeryjskim romantyzmie i realiach, spotkał się z początku z niezastępowaną krytyką”.

Z tą krytyką ten film spotyka się do dziś. Teraz na nowo wybuchnie spór o „Lotną”, a nie o to należy się spierać, gdyż spierać się należy o prawdę Września. J. Pelc-Piastowski tak kończy swój artykuł: „A o ulanach pozostanie legenda”. Chodzi o to, aby nie tylko pozostała legenda, ale aby również prawda dotarła do synów i wnuków ułanów z 1939 roku.

Historia lubi ukrywać

W PORĘ NIE WYJAŚNIONE TAJEMNICE

jak to choćby było z opisanym w „PERSPEKTYWACH” (nr 32 z 24 września 1982 r.) przez Jacka Włomowskiego o kolicznościach śmierci płk. Walerego Ślawa. Walery Ślawek był najbliższym współpracownikiem Józefa Piłsudskiego, „począł jako jedyny spośród członków ekipy sanacyjnej zwracał się do Marszałka po imieniu”, był częstym gościem w domu

Piłsudskich, został też przez Marszałka wyznaczony „testamentem na prezydenta RP. Ale urząd ten do 1940 roku miał jeszcze prawomocnie pełnić Ignacy Mościcki, który też nie bardzo chciał go ustąpić wyznaczonemu przez Józefa Piłsudskiego kandydatowi. Walery Ślawek był przywódcą Bezpartyjnego Bloku Współpracy z Rządem (BBWR), premierem, został Marszałkiem Sejmu, był współtwórcą państwa wedle koncepcji i zaleceń J. Piłsudskiego.

Doszło więc do ostrej walki personalno-politycznej. Zaczęła się ona we wrześniu 1935 roku. Walery Ślawek musiał ustąpić i podał o dymisji rząd, którego był wówczas premierem. Jego miejsce zajął Marian Zyndram-Kościałkowski, Ale Walery Ślawek nie dał się wygrać. W czerwcu 1938 roku — po śmierci Stanisława Cera — zostaje wybrany Marszałkiem Sejmu. 13 września 1938 roku Ignacy Mościcki rozwiązuje Sejm i Senat. W listopadzie tegoż roku wybory, Ślawek staje do wyborów listopadowych. Przeciwnicy z Zamku Królewskiego — siedziba prezydenta — nie dają za wygraną. Przystępują do ataku. Miasto zalewają ulotki skierowane przeciwko Ślawkowi. Przegrany. Ponoć nadal chciał walczyć. Stanisław Giza — były pracownik Instytutu im. J. Piłsudskiego, którego prezesem był Walery Ślawek przez pewien czas — opublikował w 1999 roku wspomnienia, gdzie sugeruje, że Walery Ślawek spotykał się z Tomaszem Arciszewskim i Kazimierzem Pużakiem, działaczami PPS, które członkiem był niegdyś Walery Ślawek. Spotkaniami tymi interesowała się „dwójka”, a śledztwo miał prowadzić płk Smoleński, przebywający obecnie na emigracji. Jednak płk Smoleński w liście do jednego z krajowych czasopism wszystkim zaprzeczył.

2 kwietnia 1938 roku Walery Ślawek strzelił sobie w usta. Pozostawił list tej treści:

„Odbieram sobie życie. Nikogo prosić nie winię. W. Ślawek. 2.06.1939 r. Spaliłem papiery o charakterze prywatnym, a także wręczane mi w zaufaniu. Jeśli nie wszystkie, to proszę pokrzywdzonych o wybaczenie. Bóg wszystko widzący może mi wybaczyć moje grzechy i ten ostatni”.

Dlaczego to zrobił? Czy dlatego, że przegrał, że nie wygrał dla siebie miejsca w Polsce E. Rydza-Smigłego i Ignacego Mościckiego? A przecież tę Polskę sam budował, tworzył jej koncepcję. Kiedy i kto odpowie na te pytania?

Przegląd prasy nie może jednak ograniczać się tylko do spraw poważnych, choćby dlatego, że i prasa nie karmi czytelników jedynie samymi poważnymi sprawami, historycznymi zagadkami, współczesnymi poważnymi i trudnymi problemami. Zdarzają się też

WIADOMOŚCI WESOŁE I NIEPOWAŻNE

a niekiedy wręcz humorystyczne i ja nie mam zamiaru o takich nie wspominać. Zaczęło się od wiadomości opublikowanej w „SZPIŁKACH” (nr 20/38 z 23 września 1982 r.):

„W czasie upałów Łódzkie Zakłady Piwowarskie zaczęły wytwarzać „Pepsi Colę” — jak przystało na naszą obecną sytuację — dla ubogich. Opakowanie jest to samo, znak firmowy także, tylko w butelkach zwykła woda z bąbelkami”.

„Szpiłki” wszakże się mylą. To wcale nie jest „woda dla ubogich”, to coś więcej, to innowacja. Do tej pory zarzucono naszym inżynierom i technikom, że nie potrafili rozwijać kupowanych licencji, że „nie popychali ich do przodu”. I oto właśnie ŁPZ zrobiły coś w tej dziedzinie: wyprodukowały „Pepsi Colę” bez „Pepsi Coli”, wykorzystując do tego li tylko lokalne surowce. To już jest coś! Taka „Pepsi Cola” — to jest to!

Z tych samych „SZPILEK” pytanie: Dlaczego?

„Jedynym przejawem działalności „Grunwaldu” są komunikaty prasowe. A to, że kogoś wyłano, a to znowu, że unieważnia się pieczęć. Ostatnio doszło do unieważnienia preza”.

Być może odpowiedź na to pytanie można znaleźć w „TU I TERAZ” (nr 17), gdzie ktoś podpisujący się (13) snuje takie rozważania na kanwie ostatnich komunikatów o „grupie dywersyjnej”, która zakradła się do ZP „Grunwald”.

„O co chodzi — dokładnie nie wiadomo, gdyż depesza Polskiej Agencji Prasowej stanowi doskonały przykład chińskiego języka politycznego i skłania do przypuszczeń, że powstała w gronie naprawdę utajemniczonych”.

Według mnie sugestia, jakoby wszystkiemu byli winni Chińczycy i dziennikarze wydaje się zbyt daleko posunięta. Winnych znajdzie się jeszcze kilku. Ot, choćby cykliści. A poza tym, gdzie jest powiedziane, że ZP „Grunwald” musi prowadzić jawną działalność i wszystkich o tym informować?

Niech nam jednak „Grunwald” zbytnio świata nie przesłania, bo w tymże „TU I TERAZ” wiadomości wcale interesująca. Jej tytuł „Farsa do kwadratu”. W treści natomiast niemal sensacja. Oto okazuje się, że wielu aktorów odmawiających występowania w telewizji jest na etatach teatru telewizji. Telewizja utrzymuje bowiem dwa teatry: w Chorzowie i teatr „Kwadrat” w Warszawie. A skoro telewizja ma dwa teatry, to nie widzę żadnych przeszkód, aby spektakle tych teatrów mogły być przenoszone na ekran. I już na marginesie tego sporu i niechęci do występowania w telewizji. Zaczyna to wszystko coraz bardziej wyglądać komicznie, żeby nie powiedzieć śmiesznie.

Jeśli o śmiechu mowa, to polecam felieton Bogdana Maciejewskiego w „ARGUMENTACH” (nr 29 z 26 września 1982 r.) pt. „O wyższości orkiestry dętej nad fiałem 125p”. Autor był kupił sobie fiał 125p i odkrył, że posiada on — ten fiał znaczy — wiele „fabrycznych usterek oraz niedoróbek”, a jednocześnie odkrył, że FSO w Warszawie na Żeraniu „ma dobrą orkiestrę dętą”. Po różnych poprawkach fiał 125p kupiony w „kombinacji dolarowo-złotówkowej” jeździ, ale:

— „Wie pan — powiedział mi niedawno sąsiad złota rączka, który 15-letniej „Warsawie” potrafi nadać sprawną działalność oraz tzw. osiągi „Mercedesa”, a w najgorszym razie „Poloneza” — tak się przysłudam i przysłuchuję pańskiemu fiałowi, i coś w nim, psia krewo, nie gra.”

— To dziwne — odparłem — przecież oni mają tam dobrą orkiestrę...”

Skoro już jesteśmy na ostatniej stronie „ARGUMENTÓW” to należy się Czytelnikom komunikat z życia felietonisty Anny Blazuckiej. Jak donosi w felietonie spędziła ona niedługo urlop „w leżaku z Marcellem Proustem”. Adas pozostał w Warszawie i po krótkiej tęsknocie zjawiał się „na dworcu autobusowym Warszawa Stadion z pekiem kwiatów w swojej muzycznej dłoni”.

Już na zakończenie wiadomości kosmiczna. Szymon Kobylński przyniósł nam „PERSPEKTYWACH”, że ma za złe naukowcom różnego autoramentu i rodzaju, że na poważnie nie zajęli się UFO. On sam natomiast w sposób niebawem logiczny wykazał, że publikowane swego czasu w tychże „Perspektywach” zdjęcia i opis wydarzenia, którego świadkami byli studenci Akademii Rolniczej w Olsztynie... nie pasują wzajemnie do siebie. Inaczej mówiąc w sposób kulturalny zarzucił im mianicie się z prawdą. Ale można podejrzewać... dowcip, albo kto wie, co jeszcze. Ze strony studentów, oczywiście. Teraz studenci powinni wyjaśnić, czy uznają zarzuty Sz. Kobylńskiego, czy też w ich opisie są braki i niedokładności. Spór o UFO zawsze jest dobry.

Odnötujemy jeszcze, że „WIADOMOŚCI SKIERNIOWICKIE” wydały setny numer, a „PRZEGŁAD TECHNICZNY” — 4.000.

LUCJAN BOGUSZ

W Poznaniu trwały Targi Krajowe „Jesień 82”, z których reportaż zamieścimy w najbliższym numerze. Już pierwsze doniesienia prasowe są wszelako zgodne: pod nieobecność wielu kluczowych branż, meblarstwa, dziewiarstwa, przemysłu skórzanego, maszynowego i ceramicznego, nawet stosunkowo liczny udział przemysłu drobnego nie zmienił faktu, że były to przede wszystkim targi producentów. Handlowcy kupowali wszystko, niezbyt zważając na ceny, a nawet na jakość.

W PIOTRKOWIE TRYBUNALSKIM POWSTAŁA WOJEWÓDZKA TYMCZASOWA RADA PRON

W Piotrkowie Trybunalskim powstała Wojewódzka Tymczasowa Rada PRON, której przewodniczącym został działacz rad narodowych, dyrektor Zespołu Szkół Zawodowych nr 1 w Piotrkowie, członek PZPR — Jerzy Pokutycki.

Warto dodać, że w województwie piotrkowskim Obywatelskie Komitety Ocalenia Narodowego zaczęły powstawać już od stycznia br. Obecnie istnieje 88 podobnych komitetów skupiających reprezentantów wszystkich środowisk zawodowych i społecznych, członków partii politycznych i bezpartyjnych oraz przedstawicieli stowarzyszeń chrześcijańskich.

ZESPÓŁ POSELSKI MIASTA ŁODZI ZGŁOSIŁ AKCES DO PRON

Zespół Poselski Miasta Łodzi zgłosił akces posłów do PRON, deklarując pomoc w pracach Wojewódzkiej Tymczasowej Rady Patriotycznego Ruchu Odrodzenia Narodowego.

Podczas tego samego posiedzenia Zespołu Poselskiego przedstawiona została informacja o działalności 150 Obywatelskich Komitetów Ocalenia Narodowego, jakie istnieją na terenie miejskiego województwa łódzkiego.

INAUGURACJA ROKU KULTURALNEGO

W Łodzi odbyła się uroczysta inauguracja nowego roku kulturalnego i sezonu artystycznego w województwie. Spotkanie otworzył wiceprezydent Łodzi — Zbigniew Polt, zaś członek Biura Politycznego, I sekretarz KŁ PZPR Tadeusz Czechowicz w swoim wystąpieniu podziękował wszystkim ludziom kultury i sztuki za ich dotychczasowy wysiłek. Mówiąc jednocześnie o konieczności przezwycięzania istniejących w środowiskach twórczych podziałów i napięć, I sekretarz KŁ jako płaszczyznę do działania dla wszystkich ludzi dobrej woli proponował rozdział się Patriotyczny Ruch Odrodzenia Narodowego.

Wręczone zostały odznaki „Zasłużonego Działacza Kultury” oraz dyplomy honorowe ministra kultury i sztuki.

NAGRODY „TRYBUNY LUDU”

Przyznane zostały tradycyjne nagrody „Trybuny Ludu”. Wśród laureatów znajdują się m. in.:

prof. dr hab. Władysław Bortnowski z Łodzi — za osiągnięcia dydaktyczne i wychowawcze w Uniwersytecie Łódzkim, za popularyzację wiedzy historycznej i za aktywną działalność społeczną,

Janusz Kłosiński z Warszawy — za całokształt zaangażowanej pracy artystycznej w teatrach Łodzi i Warszawy oraz w Teatrze Telewizji i filmie.

KONGRES TECHNIKÓW POLSKICH W DNIACH 8-10 PAŹDZIERNIKA W ŁODZI

Dobiegają końca przygotowania do XX Kongresu Techników Polskich, który w dniach 8-10 października odbywać się będzie w Łodzi. Pierwszy kongres zorganizowano w roku 1882 w Krakowie, a więc przed stu laty, pierwszy powojenny — w 1946 roku w Katowicach.

XXV — a VIII w dziejach Polski Ludowej — Kongres Techników Polskich stoi więc pod znakiem podwójnego jubileuszu. Weźmie w nim udział około 1000 delegatów i 200 zaproszonych gości, zaś łódzcy działacze NOT i delegaci na kongres zamierzają wystąpić z licznymi inicjatywami zwłaszcza w dziedzinie usprawnienia gospodarki mieszkaniowej, rozwoju przemysłu maszyn wiórkowniczych, spraw komunikacji i ochrony środowiska.

WCIAŻ ŻŁE W BUDOWNICTWIE

Na spotkaniu z dziennikarzami minister budownictwa i materiałów budowlanych Tadeusz Opolski raz jeszcze potwierdził, że bardzo źle wygląda sytuacja w budownictwie. W poszczególnych wersjach planu liczone na zbudowanie 170—210 tysięcy mieszkań, gdy według oceny wojewodów w całym kraju odda się ich w tym roku nie więcej niż 140 tysięcy.

Jednocześnie kolejne akcje milicyjne wykazują, że marnotrawstwo w budownictwie wciąż jeszcze jest olbrzymie.

ZJAZD SD PRL — DO 20 STYCZNIA 1983

W Warszawie odbyło się II Plenarne Posiedzenie Komitetu Zakończającego Stowarzyszenia Dziennikarzy PRL, organizacji skupiającej obecnie ponad cztery tysiące członków, w większości zawodowo czynnych dziennikarzy prasy, radia i telewizji.

Plenum oceniło dotychczasową działalność Tymczasowego Zarządu Głównego SD PRL, podjęło też decyzję o zwolnieniu I Zjazdu Stowarzyszenia nie później niż do 20 stycznia 1983 r.

ZMARŁ ARNOLD BOROWIK

W minionym tygodniu zmarł nagle red. ARNOLD BOROWIK, jeden z najbardziej zasłużonych pracowników Polskiego Radia wychowawca całych pokoleń radiowych dziennikarzy, przez długie lata zastępca redaktora naczelnego Łódzkiej Rozgłośni PR.

Redaktor Borowik — wielokrotnie nagradzany i odznaczany, m. in. Krzyżem Kawalerskim i Krzyżem Oficerskim Orderu Odrodzenia Polski — dobrze i trwale zapisał się w pamięci współpracowników, a przede wszystkim wielu tysięcy słuchaczy radia jako znakomity publicysta i człowiek obdarzony wielką społeczną pasją.

URODZAJ I SKUP

* Skup ziarna przebiega nieco lepiej niż w analogicznym okresie minionego roku, ale mimo to do końca minionego tygodnia nie osiągnął jeszcze połowy planowanej wielkości.

* Trudno ocenić perspektywy tegorocznej kampanii cukrowniczej, zbiory buraków są bowiem bardzo różne w poszczególnych regionach kraju. Jako pierwszą rozpoczęła kampanię cukrownia „Witaszycy” w woj. kieleckim, a dzień później — 18 września — ruszyła cukrownia „Wieluń”. Ta ostatnia sygnalizuje lepsze niż przed rokiem dostawy i o 1,5 proc. wyższą zawartość cukru w bulwach.

* Notuje się niższe niż przed rokiem zbiory ziemniaków, są one jednak suche, nie porażone przez choroby i stosunkowo łatwiejsze w przechowywaniu.

* Zasypują nas natomiast jabłka. Do skupu trafia dziennie 10—11 mln kg jabłek, których handel nie może w takich ilościach ani przyjmować, ani sprzedawać. Pracują wszystkie przetwórcze przerabiające jabłka na soki, koncentraty, przeciera, musy, dżemy itp., zaś pewne ilości jabłek idą również na eksport.

Dokończenie ze strony 1

nicowania społeczeństwa polskiego roku 1982. Fakt podziałów i rozdarcia społeczeństwa nie wyklucza pewnej wspólnoty celów, jest nią przyszłość Polski, jest akceptacja dotychczasowych socjalistycznych przemian i zgoda na dalsze przemiany tego charakteru, na program socjalistycznego rozwoju kraju. Różnice mogą i dotyczą sposobów realizacji tych celów i programów. W tym zawiera się również odpowiedź na pytanie: z kim się możemy porozumiewać, a z kim nie? Nie ma i nie może być porozumienia z przeciwnikami socjalizmu.

Jakie miejsce zajmuje PRON w systemie politycznym państwa, jakie będzie jego konstytucyjne usytuowanie, to zależy będzie od decyzji Sejmu PRL, a także od praktyki i doświadczeń PRON.

2. TAKTYKA CZY STRATEGIA?

Niektórzy skłonni są podejrzewać, że ruch odrodzenia narodowego jest taktycznym wybiegiem partii, rozwiązaniem prowizorycznym, zmierzającym tylko do osiągnięcia doraźnych celów. Zapominają oni, że IX Nadzwyczajny Zjazd PZPR jednoznacznie wypowiedział się za koniecznością porozumienia narodowego, że idea ta — idea sojuszy politycznych i klasowych — zawsze była podstawą strategii partii komunistycznych i robotniczych. W Uchwale IX Zjazdu stwierdzono to tak:

„Zadania, które dziś stoją przed PZPR, nie mogą być zrealizowane siłami wyłącznie samej partii czy nawet siłami samej tylko klasy robotniczej. Bez oparcia działań na szerokim froncie patriotycznych sił postępu i demokracji — nie można wyprowadzić kraju z kryzysu.”

W dokumencie tym mówi się wprawdzie o konieczności znalezienia nowej formuły FJN, ale przecież rzecz nie w nazwie, ale w istocie ruchu, w jego autentyczności, spontaniczności, jak w celach przez ten ruch stawianych, a te IX Zjazd określił jednoznacznie, uważając, że istota tego ruchu leży w „kształtowaniu socjalistycznej kultury politycznej, w organizowaniu społecznego wsparcia dla poczynających organów przedstawicielskich oraz aparatu władzy i administracji, w społecznej inspiracji i kontroli ich działań, w rozwijaniu inicjatyw obywatelskiej na rzecz programu odnowy i stabilizacji”.

Przypomnienie tych podstawowych, programowych sformułowań partii daje też odpowiedź na pytanie o miejsce i rolę partii w ruchu odrodzenia narodowego. Jest to rola przewodnia. Wynika ona nie tyle z zapisu konstytucyjnego, co jest skutkiem a nie przyczyną, co z założeń ustrojowych. Siłą przewodnią i napędową naszego społeczeństwa jest klasa robotnicza, a jej partia polityczna właśnie z tego faktu staje się przewodnią siłą polityczną. Jej przewodnią rolą ma wszakże być spełniana nie w sposób instytucjonalny i formalny, ale rzeczywisty, co oznacza — jak to zostało ujęte w Uchwale IX Zjazdu PZPR — że „przewodnia rola PZPR w społeczeństwie i jej kierownictwo rola w państwie powinna być urzeczywistniana w ramach ścisłego przestrzegania obowiązujących praw, przy pełnym zapewnieniu konstytucyjnej roli organów przedstawicielskich i wykonawczych władzy ludowej, samorządu i administracji”. Zjazd zobowiązał Instancje i organizacje partyjne, aby stały „na straży rozwoju demokracji socjalistycznej, jej celów i zasad”, wypowiedział się za partnerskimi stosunkami ze stronnictwami politycznymi i zobowiązał wszystkich członków partii do zdobywania poparcia społecznego dla programu partii i nałożył na nich współodpowiedzialność za realizację tego programu. Działalność członków partii w PRON będzie więc sprawdzianem, czy potrafią oni realizować przewodnią rolę partii poprzez swą działalność, pracę, postawę i obronę swych poglądów, czy też będą skłaniali się ku sformalizowanej, instytucjonalnej nadrzeczności, co ruchowi może tylko zaszkodzić. Ruchowi i partii.

Pytań jest wiele — spróbujmy odpowiedzieć choć na niektóre

Świadomość podziałów społecznych, zróżnicowania poglądów, rozdarcia społecznego musi skłaniać do szukania odpowiedzi na pytanie: wobec kogo ruch ma być otwarty, kogo zjednywać i pozyskiwać? Marian Orzechowski na to pytanie odpowiada, że ruch porozumienia „oznacza tworzenie platformy politycznej i społecznej, na której mogliby się spotkać z nami, siłami jawnie socjalistycznymi i prosocjalistycznymi wszyscy ci, którzy dzisiaj stoją na uboczu, którzy z tych czy innych względów wątpią, znajdując się na emigracji wewnętrznej, ulegając ciągle presji i demagogii sił opozycyjnych, nie są jeszcze w pełni przekonani, w jakim kierunku i jak będzie działać władza, państwo, jakie będą osiągać rezultaty w swej polityce”. Inaczej mówiąc, ruch porozumienia narodowego musi otwierać się w stronę „wciążącego środka społeczeństwa”, o który toczy się ostra walka z polityczną opozycją. Na partię nakłada to obowiązki bezkompromisowej walki z opozycją, z przeciwnikami socjalizmu wszelkiej orientacji, ale też i obowiązek rozróżniania, kto jest przeciwnikiem, a kto sojusznikiem choćby potencjalnym.

Niektórzy porozumienie rozumieją formalnie: za stołem siedzą „wysokie umawiające się strony”, podpisują kolejny akt, godzą się na kompromis, co może też oznaczać oczekiwanie na rezygnację z takich czy innych założeń ustrojowych i jest „po sprawie”. Są to oczekiwania bezpodstawne. Praktyka sprzed 13 grudnia 1981 roku jasno wykazała, że tak pojmowane porozumienie do niczego nie prowadzi. Rzecz bowiem nie sprowadza się do formalnie podpisywanych „umów społecznych”, a do rzeczywistego określania wspólnych celów, tego co łączy i szukać — nawet w ostrych sporach — najskuteczniejszych sposobów ich realizacji. Wspólnota celów, racji nadrzędnych, troski i odpowiedzialności za przyszłość narodu i państwa, jego suwerenności nie oznacza mechanicznej jednorodności, przeciwnie — zakłada różnorodność i spory o sposoby działania, postępowania, budowania programów.

3. CO TO ZNACZY KLASOWY CHARAKTER?

Jest to zarazem najistotniejsze i najtrudniejsze pytanie. Nie sposób na nie odpowiedzieć bez choćby wstępnej analizy układu sił społecznych i klasowych w dzisiejszej Polsce. A bez odpowiedzi na to pytanie nie wyjaśni się do końca wątpliwości, jakie rodzą się wraz z narodzinami patriotycznego ruchu odrodzenia narodowego.

„Deklaracja porozumienia” z 20 lipca 1982 roku stwierdza fakt zróżnicowania społecznego. I głosi: „Kierujemy się zasadami tolerancji. Uznajemy tożsamość i samodzielną rolę wszystkich uczestników ruchu, stojąmy na gruncie ich partnerstwa. Partnerstwo to poszanowanie prawa do odmiennego zdania i odpowiedzialnej krytyki, wzajemna lojalność, gotowość wysłuchania i zrozumienia argumentów, wychodzenie naprzeciw wszędzie tam, gdzie chodzi o osiągnięcie wspólnych i nadrzędnych celów. Zujemy przekonanie, że ruch stanie się najszerszym forum dyskusji politycznych, tak żywych we współczesnej Polsce, forum konsultacji społecznych, w czasie których obywatele, środowiska, organizacje będą wyrażać swoje poglądy.”

Ale obok zróżnicowania politycznego faktem też jest zróżnicowanie wewnątrz klas i

warstw, a także rozbieżność interesów klasowych. Sojusz klas i warstw, sojusz ludzi pracy, został zastąpiony sojuszem ich górnych warstw, elit. Nie ulega dla mnie wątpliwości, że obecnie jesteśmy świadkami zderzenia przeciwstawnych interesów i postaw. Z jednej strony tych, którzy dają z siebie wiele dla wspólnego dobra, dla państwa, a więc robotników, z drugiej strony natomiast tych, którzy od społeczeństwa i państwa chcieliby wziąć dla siebie jak najwięcej. Te postawy i te interesy spotykają się z dezaprobatą i sprzeciwem robotników i jest to naturalne. Mam tu na myśli nie tylko zjawisko patologiczne, które rodzi i pogłębia kryzys, jak spekulację, przechwytywanie dochodów przez kombinatorów, drobnych „przedsiębiorców”, łapownictwo, rosnącą przestępczość czerpiącą soki z marginesu społecznego i pasożytującą na zawołanie części społeczeństwa, ale również zjawiska mające znacznie głębsze podłoże. Trzeba rzecz chyba nazwać po imieniu, rośnie bowiem i nasila się konflikt między klasami: robotniczą, chłopską i drobnomieszczaństwą — rozumiejąc pod tym pojęciem nie tyle postawy i styl życia, co drobną własność środków produkcji. Jest to więc konflikt postaw, poglądów i ludzi zasadzający się na ich stosunku do środków produkcji.

Jeśli sojusz rozumieć jako współdziałanie wynikające ze wspólnoty celów i interesów, to trzeba powiedzieć, że po sojuszu robotniczo-chłopskim pozostały głównie wspomnienia. Dziś robotnicy oskarżają chłopów przede wszystkim o chęć bogacenia się a nie służenia społeczeństwu. Hasło: „możemy wyżyć i sami” pozostaje tylko hasłem i marzeniem, choć jest koniecznością. W warunkach powołania gospodarci chłopskiej jest nie tyle praca własna, co — niezbędna rzecz — pomoc państwa, a taka pomoc — w odczuciu robotników — bierze się głównie z ich pracy. Chłopi zresztą nie pozostają dłużni i narzekają głównie na niedołężność przemysłu, który nie jest w stanie dostarczyć im niezbędnych środków pracy, obwiniając o to głównie robotników, co oczywiście jest bezasadne. Ale podstawa tego konfliktu tkwi znacznie głębiej — w stosunku do środków produkcji, w formach własności. W mieście — a więc w przemyśle, choć to dotyczy i części wsi — przeważa gospodarka uspołeczniona. Na wsi — gospodarka rodzinna — forma prywatnej własności. Tu zawiera się istota sprzeczności, podobnie jak istota sprzeczności między klasą robotniczą a drobnomieszczaństwem. I ze źródeł tych sprzeczności, jak i ich samych nie można sobie nie zdawać sprawy, nie brać ich pod uwagę przy konstruowaniu jakiegokolwiek programu odrodzenia narodowego. Programy te muszą być zatem budowane nie na dążeniu do zmiany stosunku do środków produkcji, bo to obecnie nie jest możliwe, a na szukaniu sposobów łagodzenia tych konfliktów, rozwiązywaniu sprzeczności.

Mieczysław Krajewski w cyklu artykułów zatytułowanych „Samoświadomość polskiej lewicy” drukowanych w „Tu i Teraz” sięga głębiej w te konflikty, sytuując je również w perspektywie historycznej. Stawia on tezę, że w latach 1944—1948 zgodnie z koncepcją PPR budowano w Polsce społeczeństwo ludowe, opierając się na różnorodności stosunku do środków produkcji, jak i sojuszu różnych sił politycznych. W 1948 roku — zarówno przed zjednoczeniem, jak i na samym Kongresie Zjednoczeniowym — nastąpiła

zmiana koncepcji, odejście i odrzucenie budowy społeczeństwa ludowego, które stopniowo, ewolucyjnie przekształcałoby się w społeczeństwo socjalistyczne a przejście do bezpośredniego budowania takiego społeczeństwa. Był to zatem spór nie o kierunek rozwoju — bo ten był identyczny, ale o „tempo, głębię i charakter bezpośrednich zadań rewolucji”. Jednakże po 1956 roku nastąpiło załamanie procesu budowy społeczeństwa socjalistycznego, a więc przede wszystkim opartego o społeczną własność środków produkcji, i powrót do społeczeństwa ludowego. Proces ten pogłębił się po 1970 roku, ale z tym, że rozwój szedł już nie w stronę „ludowego społeczeństwa sprawiedliwości społecznej, lecz raczej w stronę głęboko zróżnicowanego społeczeństwa”. Proces ten pogłębiało niekontrolowane otwarcie na Zachód, dążenie do szybkiego nadrobienia opóźnień głównie poprzez zakup licencji, związanie polskiej gospodarki z gospodarką krajów kapitalistycznych, a przez to uzależnienie jej od tej gospodarki oraz poprzez zaciąganie kredytów, które głównie poszły na spóżywanie, a nie inwestycje. Skutki takiej polityki stały się podstawą przeżywanego obecnie kryzysu.

Niektórzy uważają, że w tej sytuacji jedynym wyjściem jest powrót do polityki zapoczątkowanej w 1948 roku. W związku z tym Mieczysław Krajewski pisze:

„Dzisiaj za awanturnictwo uważać by trzeba poglądy tych, co sformułowałyby tezę, iż jedynie w oparciu o zbiorową tj. państwową, spółdzielczą, komunalną, kooperacyjną przedsiębiorczość możemy wyjść z kryzysu.”

I przypomina, że w 1956 roku załamał się program szybkiego przekształcenia społeczeństwa ludowego w społeczeństwo socjalistyczne, jak w 1980 roku „załamał się program cywilizacyjnego awansu Polski, oparty o wzorce zachodnie”. Po 1956 roku „żywił się” program, który w Polsce rozwarstwione społeczeństwo ludowe i dziś żyjemy i musimy działać w takim społeczeństwie. Nie rezygnujemy przecież z realizacji celu — ukształtowania społeczeństwa socjalistycznego, ale świadomość rozwarstwienia, podziałów klasowych, jak też wewnątrz klas i warstw powinna nam służyć do ukształtowania kierunków polityki społecznej, do sterowania przemianami społecznymi, do uruchamiania takich mechanizmów społecznych, które sprzyjałyby pożądanym przemianom.

Na plan pierwszy wysuwa się odbudowa sprawiedliwości społecznej. Skoro żyjemy w rozwarstwowionym społeczeństwie ludowym, to celem pierwszym powinno stać się przekształcenie go w ludowe społeczeństwo sprawiedliwości. A więc celem też staje się walka prowadzona szerokim frontem z wszystkim, co łamie tę sprawiedliwość, co jej przeszkadza, co ją niszczy. Terenem tej walki niech będzie każde miejsce: fabryka, osiedle, wieś, miasteczko, instytucja, uczelnia. I to jest też powód, dla którego nie można w ruchu odrodzenia narodowego zamazywać podziałów i interesów klasowych; dla którego też ten ruch jest niezbędny, bowiem może i powinien służyć walce o odbudowę i przywrócenie sprawiedliwości społecznej. Jest nadzieją na wygranie tej walki, choć nie będzie ona ani łatwa, ani prosta.

LUCJUSZ
WŁODKOWSKI

Jak można określić pojęcie praworządności? — Najprościej można je określić jako przestrzeganie prawa. Ale powstaje tu zaraz wątpliwość, czy dotyczy to każdego prawa bez względu na jego treść. Prawo może być zarówno narzędziem w rękach władzy państwowej, ludzi szlachetnych, a może być narzędziem wliczonym. Mamy wiele przykładów w dziejach ludzkości, gdzie zwykłe przestrzeganie prawa w gruncie rzeczy prowadziło do niepraworządności.

— Dlaczego? — Ponieważ treść prawa, jego istota polityczna i klasowa były antyspołeczne czy wręcz nie-ludzkie. Treść ta gwałciła takie zasady, jak: równość, sprawiedliwość, wolność, itd.

— Czy takie prawo też powinno być przestrzegane? — Tak, ponieważ każde prawo chroni ład, przeciwstawia się anarchii, gwarantuje minimum pewności obywatela w stosunkach z władzą i z innymi obywatelami. W tym tylko sensie przestrzeganie prawa ma pewien walor pozytywny.

— Ale wróćmy do wątpliwości.

— W związku z tymi wątpliwościami trzeba powiedzieć, że praworządność to nie tylko przestrzeganie prawa takiego, jakie ono jest. Praworządność zawiera w sobie także elementy wartościowania: moralne, polityczne, itp. Chodzi o to, żeby w momencie ustanawiania przepisów szeroko rozumiany pracodawca szanował te wszystkie założenia i idee, które głosi.

Jeśli jest to ustawodawca socjalistyczny to wiadomo, że chodzi tutaj o takie wartości jak zasady sprawiedliwości społecznej, równości społecznej, itp. Oznacza to nieróżnicowanie ludzi ponad konieczną potrzebę, niepomnianie kryteriów nierówności społecznej. Mają tu również odniesienie takie problemy, jak: jawność życia publicznego, rotacja kadr, czy też nawiazanie do pewnych, odwiecznych wartości, obyczajów i zasad współżycia społecznego.

— Kto ma przestrzegać prawa? — Myślę, że można mówić o praworządności tam i wtedy, gdy prawo jest przestrzegane — ale prawo dobre, słuszne; jeśli ono samo już szanuje podstawowe wartości ludzkie i zasady humanitaryzmu. O pełnej praworządności można mówić wtedy, gdy prawa przestrzegają wszyscy, tzn. organy państwowe, organizacje społeczne (w tym także polityczne) i obywatele. Jednakże, że względu na szczególną pozycję organów państwowych i ich aparatu dysponującego siłą przymusu — większą wagę należy przywiązywać do poszanowania prawa przez organy państwowe i ich funkcjonariuszy niż przez obywateli.

— Dlaczego? — Bowiem ciężar i rozmiar szkody społecznych wywołanych przez tych, którzy mają w ręku władzę i przymus jest zdecydowanie większy i bywa groźniejszy w skutkach. Ale również i tam, gdzie organy państwowe i ich aparat, instytucje publiczne i społeczne prawa przestrzegają, a obywatele gwałcą — tam również nie można mówić o praworządności.

— Bywają takie sytuacje, gdy prawo się starzeje, życie biegnie naprzód, zaś akty prawne istnieją i nadal obowiązują. Co wówczas?

— Wkraczamy tutaj na teren bardzo delikatny. Historia obfituje w liczne przykłady niekonformizmów, artystów, pisarzy, filozofów, myślicieli, lekarzy, których postawa innowacyjna nie mieściła się dokładnie w literze prawa, a ich działania i postawa wyraźnie były przeciwko prawu. Jednakże to dzięki takim ludziom, dzięki takim postawom ludzkości mogła się rozwinąć. Pewien margines nonkonformizmu, każde światłe społeczeństwo, każdy system prawny powinny stwarzać.

Jeśli prawo nie jest adekwatne wobec warunków życia publicznego i społecznego, jeśli społeczeństwo poszło już jakby dalej — to powinniśmy czynić wszystko, żeby ustawodawca, zmienił to prawo lub je udoskonalił. Jeśli chcemy mówić o praworządności kształtowaniu życia publicznego, to musimy pamiętać, że elementem tego życia jest także działalność prawodawcza. Posiadamy mechanizmy umożliwiające takie zmiany.

— Jak to mechanizmy?

— Mamy możliwości oddziaływania na posłów. Zachęcania ich czy zobowiązania do działań legislacyjnych w parlamencie. Mamy możliwości oddziaływania na radnych, gdy chodzi o prawo lokalne. Mamy dziesiątki innych rozmaitych urządzeń prawno-ustrojowych, które są jakby kanałami sprzyjającymi przepływowi naszych pomysłów i postaw innowacyjnych w taki sposób, aby organy uprawnione do zmiany prawa zmieniały i doskonaliły je w drodze legalnej i praworządnej. Natomiast przyjęcie zasady, że jeśli prawo nie odpowiada warunkom życia, to każdy miałby uprawnienie do naruszania tego prawa i kierowania się przez siebie wyobrażonymi zasadami słuszności i celowości — spowodowałoby na marginesie samo prawo.

Warto chyba powiedzieć o instytucjonalnych gwarancjach praworządności. Gwarancje są już jakby wpiecone w samo pojęcie praworządności. Przy materialnym rozumieniu praworządności jej gwarancje nie są czymś odrębnym, co ją samą chroni, są one jej integralnym składnikiem.

— Pomówmy więc o tych składnikach.

— Przede wszystkim trzeba wymienić gwarancje o charakterze społeczno-politycznym.

— Jak to gwarancje?

— Są to gwarancje związane z kulturą życia politycznego, z mechanizmem stosunków między-partijnych przy systemie wielopartyjnym, związane z mechanizmem wyborów (chodzi tu o kulturę wyborów). Także sprawy tolerancji światopoglądowej, religijnej, itp. są tu istotne. To wszystko i wiele jeszcze innych gwarancji społeczno-politycznych. Można iść dalej i powiedzieć, że wchodzi tu także takie urządzenia, które stereotypowo nazywamy własnością społeczną, rotacją kadr kierowniczych.

— Rotacja w odniesieniu do stanowisk i funkcji wybieralnych?

— Głównie w odniesieniu do stanowisk wybieralnych państwowych i politycznych.

— Skoro już o tym mówimy, to powiedzmy kilka słów o wzajemnym stosunku tych ciał do ich organów wykonawczych.

— Regulacja prawna jest tutaj dość rozbudowana, jeśli chodzi o państwo socjalistyczne. Jedną z gwarancji o charakterze społeczno-politycznym i prawno-konstytucyjnym jest sprawa nadzerności ciał przedstawicielskich nad organami wykonawczymi i zarządzającymi.

— Czy to, że rady narodowe według obowiązującego prawa i według projektu ustawy nie mają i być może nie będą miały zdecydowanego wpływu na wybór swych organów wykonawczych (wojewody, prezydenta, naczelnika) nie niweczy tej gwarancji?

— Trudno powiedzieć, jak ostatecznie ustawodawca rozstrzygnie tę sprawę. W kolejnych wersjach projektu ustawy o radach narodowych nie mieliśmy takich rozwiązań, które gwarantowałyby pełną nadzerność organu przedstawicielskiego czyli rady narodowej nad organem administracji, gdy chodzi o ich wybór.

Od kogo i czego zależy praworządność

ROZMOWA Z PROF. UNIwersYTETU WROCLAWSKIEGO

dr. hab. HENRYKIEM ROTE

— W uchwale IX Nadzwyczajnego Zjazdu PZPR stwierdzono, że należy wzmożyć wpływ rad na obsadę personalną kierowniczych stanowisk w jednostkach objętych ich zakresem działania. Brak bowiem takiego wpływu służy przejmowaniu władzy przez aparat wykonawczy. Następuje ograniczenie ludowładztwa i sprowadzenie organów przedstawicielskich do funkcji pozornych.

— Chodzi nie tylko o kryterium demokratycznych uprawnień ciała przedstawicielskiego. Wchodzi tu w rachubę jeszcze kryteria prakseologiczne, skuteczności nadzoru organu administracji wyższego stopnia w stosunku do organu administracji niższego stopnia, itp. Dalej, jeśli weźmiemy pod uwagę uprawnienia rady narodowej do zatwierdzania pewnych decyzji organu administracji, opiniowanie tych decyzji, obowiązek organu administracji do okresowego przedkładania swojej radzie sprawozdań i informacji o swojej działalności, uprawnienia komisji rad do kontroli urzędów (wydziałów), to wówczas sam moment powoływania organów administracji jawi nam się nie jako wartość absolutna, tylko jako pewien element bardzo bogatego zjawiska, któremu na imię nadzerność rady narodowej nad administracją.

Osobiście uważam jednak, że więcej argumentów przemawia za tym, żeby rada narodowa miała pełne gestie w zakresie wyboru na stanowisko wojewody, prezydenta, naczelnika — niż za wersją powoływania tych organów przez organy administracji wyższego szczebla.

— Jak określiliby Pan to, co najogólniej nazywamy stanem kultury prawnej społeczeństwa? — Kultura ta łączy się przecież w sposób ściśły ze świadomością prawną, ze znajomością prawa przez społeczeństwo.

— Sprawa świadomości prawnej czy prawno-politycznej społeczeństwa, kultury prawnej, obywatelskiej w pewnym sensie zależy od działań sformalizowanych aparatu państwowego, ale nie tylko. Jest to z pewnością sprawa jawności życia publicznego; w tym w szczególności jawności prawa — jego tworzenia. Chodzi tutaj o ogłaszanie aktów prawnych przede wszystkim zawierających przepisy dotyczące zachowania się, praw i obowiązków organów państwowych i obywateli, regulujących takie sprawy jak: podatki, zobowiązania i uprawnienia pracowników wobec pracodawców i odwrotnie. Można także dawać liczne przykłady z dziedziny życia społecznego, publicznego, których znajomość powinna być powszechna.

— A nie zawsze tak jest?

— Niestety, nie zawsze. W systemie prawnym mamy bowiem zawsze pewne braki i luki w przepisach co do obowiązku publikowania niektórych aktów prawotwórczych. Chodzi tu przede wszystkim o akty niższego rzędu, takie jak uchwały Rady Ministrów, zarządzenia ministrów, a także o pewne akty prawne rad narodowych i terenowych organów administracji. Trzymamy się tu paru byle może wąskich przykładów, choć skala tego problemu jest bardzo szeroka. Są to bardzo istotne sprawy. Jeśli w państwie socjalistycznym przyjmujemy, że obywatele mają prawo brać udział w życiu publicznym, to powinni oni uczestniczyć np. w konsultacjach nad tworzeniem aktów prawnych. Przepisy prawne są najwyraźniej i najważniejszym przejawem działalności państwa i jego organów. W tym także sensie najważniejszym i najdonioślejszym, że zwykle w przepisach prawa zawarte są sankcje często dokuczliwe dla obywateli. W przepisach prawnych formułowana jest także odpowiedzialność funkcjonariuszy państwowych za ich negatywną działalność bądź zaniedbanie. Jeśli przepisy prawne, choćby tylko nieaktualne, nie są obywatelom znane — to trudno mówić o funkcjonowaniu ludowładztwa i demokracji. Wiąże się praworządność z zasadami ludowładztwa i demokracji, ale zasady te są nierozłączne.

— Co można zrobić, aby zmienić tę sytuację?

— Przede wszystkim należałoby uzupełnić zastarzałe przepisy prawne regulujące zasady ogłaszania aktów prawotwórczych szczebla centralnego i lokalnego. Przepisy te są liczne i pochodzą z lat 50-tych, w części z lat 60-tych. Myślę, że sytuacja obywatelstwa w naszym państwie oraz kultura prawna społeczeństwa tak daleko jest już inna od tej, z jaką mieliśmy do czynienia w pierwszych latach naszej państwowości socjalistycznej, że można by już dzisiaj wprowadzić ustawową zasadę zobowiązującą wszystkie organy państwowe do ogłaszania bez wyjątku aktów prawnych zawierających nakazy i zakazy dla obywateli i organów państwowych.

— Zdarza się — weale nie tak rzadko — że niektóre wydawane przepisy prawa nie zawsze są w zgodzie z treścią i duchem konstytucji. Jakże w tej kwestii miałoby znaczenie powołanie Trybunału Konstytucyjnego?

— Powołanie Trybunału Konstytucyjnego dla zapewnienia praworządności trudno przecenić. Pamiętajmy o tym, że Trybunał Konstytucyjny nie jest jeszcze powołany, nie ma jeszcze przepisów prawnych kształtujących jego podstawy i tryb działania. Gdy chodzi o kontrolę legalności aktów prawotwórczych (przepisów prawnych) z wprowadzeniem Trybunału Konstytucyjnego nauka prawa łączy ogromne nadzieje. W naszej państwowości socjalistycznej mieliśmy w tej dziedzinie rozmaite doświadczenia. Konstytucja z 1952 roku w swoim pierwotnym brzmieniu nie zawierała żadnych przepisów co do kontroli legalności niektórych aktów prawotwórczych, zwłaszcza rządów i ministrów. Jednakże pod rządami tej Konstytucji, gdzie od połowy lat 70-tych, mieliśmy do czynienia z praktyką powstawania tzw. samostanów aktów normatywnych rządu, tzn. takich, które były wydane bez wyraźnych podstaw prawnych. Zdarzało się, że tworzone takie akty prawne wbrew istniejącym ustawom. W drugiej połowie lat 70-tych wprowadzono nowelę do Konstytucji polegającą na tym, że Rada Państwa uzyskała prawo do czuwania nad zgodnością przepisów prawnych z Konstytucją i ustawami.

— Czy Rada Państwa z tego korzystała?

— Niestety, nie. W ciągu kilku lat funkcjonowania tego uprawnienia Rady Państwa stan praworządności, gdy chodzi o legalność tworzenia prawa — nie uległ zmianie. Klauzula ta była martwa. Stan niepokoił nie tylko prawników. Stąd narodziła się idea powołania organu, który byłby jakby w rękach Sejmu, jakby jego ramieniem.

— Organu fachowego?

— Tak. Organu fachowego działającego na podobieństwo sądu. Ślad ta nazwa: Trybunał Konstytucyjny. Jego gestie byłoby ograniczone tylko do kontroli legalności aktów prawnych naczelników organów państwowych, w tym także Rady Państwa i Sejmu. W naszym powojennym rozwoju prawa mieliśmy przeszkodę, która utrudniała wprowadzenie skutecznej legalności aktów prawotwórczych.

— Jaka to przeszkoda?

— Otóż przez wiele lat dawała się we znaki teoria głosząca, że nie można obok Sejmu czy ponad Sejmem tworzyć organu kontrolującego. Twierdzono, że Sejm z samej swej strony nie może naruszać prawa. Każda ustawa, każda uchwała Sejmu jest zawsze i tylko praworządna. Praktyka dowodziła jednak, że tak nie musi być i tak nie jest.

Powołanie Trybunału Konstytucyjnego wcale nie sprzeciwia się idei nadzerności parlamentu. Na skład osobowy i działalność Trybunału Konstytucyjnego będzie miał wpływ Sejm jako najwyższy organ władzy państwowej.

— Czy rzeczywiście najwyższy? Czy tylko urzędujący władzę ludu pracującego miast i wsi jako niepodzielnego i jedynego suwerena w ustroju socjalistycznym?

— Jest to istota rzeczy. W państwie socjalistycznym ostatecznym i najwyższym organem władzy państwowej jest lud pracujący miast i wsi. Czyli on jest właśnie tym najwyższym autorytetem. Wszystkie inne organy, także i Sejm, są jemu tylko i wyłącznie podporządkowane. W tym sensie nie może być obawy, że jeśli powołamy jakiś organ typu Trybunału Konstytucyjnego, to naruszymy zwierzchnią rolę Sejmu wobec innych organów.

— A jaka jest Pana opinia dotycząca zagadnień strukturalnych? Czy to, co często nazywamy łaczeniem zbyt wielu funkcji w jednym ręku sprzyja, czy też przeszkadza funkcjonowaniu zasady praworządności? Chodzi mi o zasadę, a nie o obecną i wyjątkową praktykę.

— Trzeba dopuścić istnienie pewnych rozwiązań wyjątkowych, przejściowych, związanych z obiektywnymi okolicznościami gospodarczymi, politycznymi, międzynarodowymi czy nawet partykularnymi; powiedzmy szczególnymi. Gdyby więc z tymi ograniczeniami odnieść się do tego problemu, to można powiedzieć, że zasada warta obrony, pielęgnowania i ochrony jest zasada nielaczenia wielu funkcji kierowniczych. W państwie praworządnym i demokratycznym nielaczenia pewnych funkcji trzeba bezwzględnie przestrzegać dlatego, że zawsze istnieje pokusa przedłużania swego pobytu na danym stanowisku, łączenia i pomnażania jeszcze tych funkcji.

— Co jest tego przyczyną?

— Zjawisko to występuje zwłaszcza wtedy, gdy nie ma w danej kulturze politycznej, w danych obyczajach politycznych nawyków do przestrzegania zasady rotacji i ustępowania z pewnych stanowisk po upływie kadencji. Jeszcze gorzej jest, gdy kadencji nie określały przepisy prawne. Ma to rozmaite skutki. Zwykle osoby łączące takie liczne stanowiska same ponoszą tego przykre konsekwencje.

Ponadto chodzi o sprawy obiektywne. W każdej społeczności istnieje dużo osób mających kwalifikacje merytoryczne, moralne oraz polityczne prawo do obejmowania rozmaitych funkcji publicznych. Nie może być tak, żeby w danym środowisku uznawać za zdądnego do piastowania pewnych funkcji jedną, dwie czy kilka osób. Przecież zawsze, w każdym środowisku jest ogromny potencjał ludzki i intelektualny w postaci licznych działaczy zdolnych do odzwignięcia powierzonych im zadań i obowiązków, związanych z pełnieniem danej funkcji publicznej, społecznej czy politycznej.

— Zwłaszcza, że ciągłe dążenie do rozszerzania udziału społeczeństwa w rządzeniu państwem jest mocno podkreślane nie tylko w podstawowych dokumentach partyjnych.

— Tak, gdyż wynika to z istoty naszego ustroju socjalistycznego. Rozszerzanie udziału społeczeństwa w sprawowaniu władzy przejawia się i urzeczywistnia także poprzez obsadzanie licznych stanowisk decyzyjnych osobami kompetentnymi. Takich ludzi dziś w Polsce nie brakuje.

— Pewne miśli wypowiadane w jakiejś odległej epoce przez myśliciela francuskiego przydałyby się i nam. Czy są one nadal aktualne?

— Pan myśli o zasadzie trójpodziału władz. Monteskusz mówiąc o podziale władzy miał na myśli sprawy o daleko większym i szerszym znaczeniu. To, o czym tu mówiliśmy, też z koncepcją Monteskusza się wiąże. On właśnie dążył do tego. Powiedział na marginesie, że żadne państwo kapitałistyczne, które deklaruje w swojej konstytucji bądź ustami mężów stanu wiarę w zasadzie trójpodziału władzy rozumianej jako rozdzielność władzy ustawodawczej, wykonawczej i sądowniczej — w praktyce tej zasady nie zrealizowało. Ale sama idea, sama myśl przewodnia ma dużą wartość.

— U nas także?

— U nas też obserwujemy dążenie do odizolowania poszczególnych władz, także politycznych. Gdyby operować terminologią Monteskusza, to można by powiedzieć, że władza ustawodawcza u nas jest skupiona na szczeblu centralnym w Sejmie. Ale pamiętajmy zarazem, że Sejm jest nie tylko władzą ustawodawczą. On sprawuje także funkcje kontrolne i kreacyjne. Powołuje przecież Radę Państwa, NIK, Radę Ministrów. Tutaj więc mamy ułożoną władzę ustawodawczą. Mamy też władzę wykonawczą, czyli rząd. Mamy niezawisłość sądu i wiele innych urządzeń gwarantujących odrębność wymiaru sprawiedliwości i dalego sądownictwa od innych organów państwowych. Tu tkwi i realizuje się idea rozdzielności pewnych zasadniczych członów władzy.

Jednakże w państwie socjalistycznym wartością nadrzędną, idea przewodnią jest idea jednolitości władzy politycznej. Musi ona odpowiednio, jako zasada socjalistyczno-polityczna, odbić się w samym ustroju organów państwowych. W tym sensie trudno mówić u nas o rozdziale władzy tak, jak to Monteskusz sobie wyobraził. U niego te trzy władze były na jednym poziomie. One były jakby pionowo przekrojone.

U nas chodzi o to, aby idea jednolitości władzy była tłumaczona w języku prawno-ustrojowym jako nie tylko odrębność władzy ustawodawczej, ale nadzerność parlamentu nad wszystkimi po-

zostalymi organami. Nie znaczy to, że parlament będzie rządził tymi metodami jakimi ministrowie wykonują funkcje rządzenia. Że będzie wydawał wyroki sądowe, jak to robi sąd. Jednakże nadzerność parlamentu wobec rządu i sądownictwa istnieje chociażby w tym sensie, że parlament wybiera, powołuje, odwołuje i kontroluje rząd, ministrów, itp.

— Myślę, że kluczowe znaczenie w naszym ustroju ma kontrola społeczna.

— Oczywiście. Wszystkie państwa socjalistyczne, w tym i Polska, zrobiły pod tym względem krok, powołując różne instytucje kontrolujące.

— Nie miałem na uwadze mnogości tych instytucji.

— Lecz od ilości trzeba zacząć. Po to się tworzyły rozmaite instytucje kontrolne, żeby były tego efekty.

— Z tym efektami różnie było i jest.

— Tak. Natomiast, gdy chodzi o wymiar ilościowy urządzeń sprzyjających kontroli społecznej, to nie ma chyba poza państwami socjalistycznymi analogii na świecie. Jednakże ze skutecznością bywało rozmaicie.

— Jakie bariery niweczyły skuteczność?

— Sama regulacja prawna tych urządzeń kontrolnych nie była dobra. Główną wadą było to, że przepisy kształtujące postawy prawne działania, prawa i obowiązki tych organów były niepełne. Przepisy nie zawierały tych elementów, które nazywamy tradycyjnie sankcją za nieprawidłowe działanie jakiegoś organu. W tym znaczeniu można mówić, że już samo prawo zawierało pewne luki i braki.

— Nie zawsze najlepiej funkcjonowała kontrola wykonania.

— Tak. Można tym obarczyć również system prawny. Nie można bez biegu pozostawić rezultatów kontroli. Były protokoły pokontrolne, które przysyłano do organów wyższego stopnia, były sprawozdania, że ileś tam kontroli wykonano i na tym się właściwie to kończyło. A trzeba tu jeszcze powołać przepisy o odpowiedzialności funkcjonariuszy i osób, które naruszyły przepisy prawne, a naruszenie to zostało stwierdzone przez organa kontrolujące. Trzeba też powiedzieć o tym, że sami członkowie różnych komisji kontrolnych nie zawsze przejawiali dostateczną aktywność i zainteresowanie skutkami kontroli. Niekiedy osoby te były już usatysfakcjonowane samym faktem dokonania kontroli, nie troszcząc się o dalsze losy swoich czynności. Bywały też niepełne i słabe, nieistotne rozwiązania organizacyjne samych instytucji kontrolnych. Gdybyśmy scharakteryzowali np. losy NIK i jej agend terenowych, to okazałoby się, że w swoich działaniach była ona już nawet agendą rządową. Wtedy zasada, że Najwyższa Izba Kontroli jest najważniejszym ogniwem służącym kontroli państwowej i społecznej — łamie się poprzez ulokowanie jej wewnątrz organów administracji. Już z samego założenia nie mogła ona wykonywać swoich konstytucyjnych uprawnień.

— Mnogość urządzeń kontrolnych nie jest więc zła z samej swej istoty. Mogą się one wzajemnie uzupełniać.

— Oczywiście. Tutaj nie można przyjąć jakiegos zamkniętego katalogu form kontroli społecznej. Życie niech to podpowiada. Sądzę, że nie należy się specjalnie troszczyć o model ilościowy.

— I nie musi to być sztywny model.

— Nie. Np. zwiolnowo powstała organizacja, która życie niejako podpowiadała — organizacja ochrony konsumentów. Jest to stowarzyszenie społeczne, a w gruncie rzeczy organizacja kontrolna. Przecież ona sama nie wytwarza żadnych dóbr. Jej celem jest kontrola instytucji handlowych, przemysłowych, usługowych. Pleć, dziesięć lat temu takiej formy kontroli nie przewidywalismy. Nagle życie taką formę podpowiadało. Myślę, że tutaj ustawodawca nie powinien być zbyt sztywny i ograniczać tego, gdy może to spowodować zwiększenie efektywności działania aparatu gospodarczego i administracyjnego i jeśli ma to sprzyjać praworządności. Chodził przecież o działalność mieszczącą się w ramach porządku prawnego państwa socjalistycznego, a nie o burzenie podstaw tego państwa.

— Ważnym momentem byłoby podkreślenie i tego, że wyniki kontroli powinny także sięgać do przyczyn i źródeł powstawania zł.

— Tak. Oczywiście.

— Czy łączy się z tym element fachowości kontrolującego?

— Myślę, że przy kontroli społecznej da się pogodzić element entuzjazmu obywatelskiego i element fachowości. Przecież obywatele składają się z inżynierów, prawników, lekarzy, nauczycieli, robotników, murarzy. Wszyscy oni są obywatelami. Wszyscy oni mają jakieś kompetencje. Wchodząc w skład społecznego organu kontrolnego nie wyzbywają się swoich fachowych umiejętności i te kwalifikacje tam ekspluata. Bożenie się czasami przez fachowych pracowników handlu, przemysłu, turystyki, itp., że w ich kompetencje i działalność wtrącają się niefachowcy — bo społecznie, jest nieludzkie.

— W szeroko omawianej tu praworządności ważną rolę odgrywa niezawisłość sądu. Półki ludzkości nie wymyśliła czegoś lepszego, nie należy też niezawisłość poddawać ograniczeniom. Ale od czego ta niezawisłość zależy?

— Nie ma niezawisłości od życia społecznego, klimatu politycznego, losów narodu. Sędzia też jest człowiekiem. Niezawisłość sądu polega więc na tym, że w sprawie, w której sędzia ma orzekać, jest on zależny tylko od ustawy i czuje się związany tylko jej przepisami. Nikt ani żadna instytucja, ani żaden autorytet, ani żadna inna osoba nie może dyktować sędziemu tego, co nazywamy wymiarem sprawiedliwości. W tej jednej sprawie sędzia kieruje się swoim sumieniem, wiedzą, doświadczeniem społecznym i politycznym, kwalifikacjami, a także rutyną zawodową. Ale zawsze i tylko w świetle zdarzeń i okoliczności, które są związane z tą sprawą. On wszystko to powinien rozważyć w świetle ustawy. Żadna instrukcja, żadne wytyczne z góry, z boku, z dołu nie mogą go w orzekaniu wiązać.

— Jak wynika z naszej rozmowy, praworządność zależy nie tylko od organów państwowych, choć od nich przede wszystkim, ale i od obywatelskich postaw każdego z nas, na każdym odcinku życia prywatnego i publicznego.

— O praworządności wszyscy powinniśmy przejawiać troskę w swoich postawach i w swoim codziennym zachowaniu to troskę przejawiać. Nie chodził przecież tutaj tylko o troskę w znaczeniu werbalnym i postulatycznym. Chodzi o troskę przekształconą w działania poprzez codzienne nasze zachowanie.

Rozmawiał:
MARIAN STRZELECKI

Nasz czas przeszły

W Londynie 28 września 1864 roku w St. Martin's Hall odbyło się założycielskie zebranie Międzynarodowego Stowarzyszenia Robotników. Powołano ono zostało do celu skoordynowania działalności grup socjalistycznych rozszaniach na całym kontynencie europejskim. Jedną (a jak niektórzy oceniają główną) z idei, która wcześniej już stworzyła płaszczyznę porozumienia robotników, była sprawa polska. W Londynie działała Narodowa Liga Niepodległości Polski, popierana przez robotników utrzymywali kontakty ze sobą. Po jednym ze zgrupowań na rzecz niepodległości Polski 22 lipca 1864 roku odbył się narady w szynku przy Long Acre dla „wielkiego zbratania ludów”.

Na pierwszym założycielskim zgromadzeniu wyłoniono 35-osobowy tymczasowy Komitet Centralny zwany później Radą Centralną, a od końca 1866 roku — Radą Generalną. Polaków reprezentował jako sekretarz do spraw polskich Jan Emil Edward Holtorp. Wywodził się on z byłej Gromady Ludu Polskiego „Grudzią”, założonej w 1835 roku w Anglii przez uczestników powstania listopadowego. Funkcję sekretarza do spraw polskich w Radzie Generalnej spełniali później kolejno: Konstanty Bobczyński (kapitan z powstania styczniowego), Antoni Zabicki i Walery Wróblewski.

Dwukrotnie powstała w Londynie sekcja polska I Międzynarodówki. Od października 1865 roku była nią Sekcja Przedstawiająca Towarzystwa Demokratycznego Polskiego, przekształcona później w Gminę Centralną Londyńskiego Zjednoczenia Emigracji Polskiej. Funkcję sekcji polskiej spełniała ona do przedednia wojny francusko-pruskiej. W latach 1872—1877 istniała kolejna sekcja polska, powstała w oparciu o Związek Ludu Polskiego Londyn.

W latach sześćdziesiątych i na początku siedemdziesiątych ubiegłego wieku także na terenie Szwajcarii i Francji ukształtowały się ośrodki skupiające rewolucjonistów polskich, sympatyków Międzynarodówki. Takim ośrodkiem była między innymi Genewa, gdzie w utworzonej tam sekcji francuskiej działało wielu Polaków. Jednym z wybitniejszych członków tej sekcji był Józef Cwierciakiewicz, były uczestnik powstania styczniowego. Jako zwolennik spółdzielczości, którą uważał za najlepszą drogę do wyzwolenia ludzi pracy, założył w Genewie stowarzyszenie spożywców, spółdzielczy zakład produkcyjny i związkową aptekę. Z Międzynarodówką współpracowali działacze Gminy Lezanna Zjednoczenia Emigracji Polskiej, a także rewolucjonści skupieni wokół pism emigracyjnych, takich jak np. „Niepodległość”, „Gmina”, czy „Le Peuple Polonais”.

Kontakty z I Międzynarodówką podtrzymywał też generał z powstania styczniowego, Józef Hauke-Bosak. Opublikował on w 1868 roku broszurę pt. „La Grave” (Strajk), w której wysoko ocenił tę formę walki mas pracujących. Występował on jako rzecznik interesów nie tylko chłopstwa, ale także klasy robotniczej. Nawoływał do zorganizowania strajku generalnego o skrócenie czasu pracy do 8 godzin dziennie, gorąco przemawiał w obronie godności człowieka pracy. Wskazywał na konieczność, w celu zwycięstwa, solidarności — międzynarodowej współpracy mas pracujących.

Do sympatyków MSR zaliczali się Towarzystwo Pracujących Polaków w Paryżu. W 1866 roku wydało ono odezwę do rodaków w Szwajcarii, wywołującą ich do udziału w pracach I Międzynarodówki.

Nie wszystkich rewolucjonistów polskich utrzymujących kontakty z Międzynarodówką można było określić mianem socjalistów. Wielu bowiem mieniło się w tym okresie socjalistami nie mając nie wspólnego z ideą przewrotu społecznego, a na niektórych dla ich dyskredytacji wołali tak przeciwnicy. Nawet czołowi przedstawiciele polskiej lewicy emigracyjnej nie widzieli potrzeby ani możliwości stosowania w warunkach polskich wszystkich wskazań zawartych w deklaracjach I Międzynarodówki.

Działalność polskich reprezentantów w I Międzynarodówce wiązała się przede wszystkim z ideą wyzwolenia Polski. Organizowano obchody rocznic powstania narodowych, głównie powstania styczniowego. Na jednym z takich zgromadzeń rocznicowych zorganizowanym przez MSR i Gminę Centralną Zjednoczenia Emigracji Polskiej 22 stycznia 1867 roku w Londynie obok Polaków przemawiał między innymi Karol Marks. W swym przemówieniu stwierdził on, iż Europa musi dokonać wyboru, albo despotyzm moskiewski, albo niepodległa Polska, a co za tym idzie zlikwidowanie zagrożenia dla dążącej do rewolucji proletariatu.

Dopiero Komuna Paryska wpłynęła na radykalizację poglądów i zblizenie się części emigracji postonowej do rewolucyjnych haseł I Międzynarodówki.

W obronie Komuny brało udział około 600 Polaków. Wśród nich wybitnymi się postaciami byli Jarosław i Teofil Dąbrowscy, Walery Wróblewski i jego adiutant Józef Rozwadowski. Jakimi motywami kierowali się Polacy, którzy staneli w obronie Komuny? Jarosław Dąbrowski odpowiadał na podobne pytanie korespondentowi „Kraju” 17 kwietnia 1871 roku — stwierdził iż Cesarstwo oraz Rząd Obrońcy Narodowej w sprawie niepodległości Polski nie uczynił, dopiero Komuna wystąpiła z hasłem rzeczności politycznej i tym samym sprawę polską. Brat Jarosława Teofil w liście z dnia 20 października 1871 roku do Jarosława Dąbrowskiego pisał:

„Osią przystępną do rewolucji paryskiej, jest ideał polityczny, a nie rewolucja społeczna, która nie powinna być dla nas celem, ale środkiem do osiągnięcia celu, którym jest ideał polityczny”.

Dalej pisał on: „dziś więcej jak kiedykolwiek walka pracy z kapitałem jest na porządku dziennym. Rewolucja społeczna w Europie jest prawie nieunikniona”.

Komunardzi polscy, którym udało się ocalić, wyjechali do Londynu. Spotkali się tu z zewidywem przywódcą Rady Generalnej MSR 25 września 1871 roku urządzono na ich cześć bankiet, któremu przewodniczył Karol Marks. Walery Wróblewski został wkrótce sekretarzem do spraw Polski w Radzie Generalnej, zaś w następnym roku powstała, wcześniej wspomniana sekcja polska w I Międzynarodówce. W swym programie członkowie sekcji polskiej wskazy-

wali na coraz bardziej uwydatniającą się walkę pracy z kapitałem. Celem tej walki jest społeczeństwo sprawiedliwe, gdzie wszystko realizowane będzie przez lud i dla ludu. Zwycięstwo zaś miało należeć do ludu wówczas, gdy wszyscy wyzyskiwani wystąpią solidarnie na całym kontynencie. Członkowie sekcji polskiej uważali, iż organizacja, która doprowadzi do zwycięstwa rewolucji społecznej będzie Międzynarodówką.

Na licznych wiecach organizowanych przez sekcję polską w Londynie z okazji rocznic głównie powstania listopadowego i styczniowego występowano z tezą o konieczności łącznego traktowania kwestii wyzwolenia społecznego ze sprawą wyzwolenia narodowego. Przemawiając w listopadzie 1875 roku Walery Wróblewski stwierdził, iż naród polski może szukać sprzymierzeńców tylko wśród organizacji robotniczych, a z kolei wyzwolenie klasy robotniczej winno być patriotycznym obowiązkiem każdego Polaka.

Równolegle z tworzącym się ośrodkiem socjalistów rewolucjonistów polskich przy I Międzynarodówce także na terenie ziem polskich poczęły kształtować się centra agitacji socjalistycznej. Od stycznia 1869 roku we Lwowie wychodziło pismo „Rękodzielnik”, które przejawiało sympatię dla „walki klasowej i socjalistycznej”.

ADAM CHOJNACKI

Socjaliści galicyjscy i ich program

„Odezwie” poparł Bolesław Limanowski w artykule wstępnym w „Rękodzielniku” pt. „Wielka Rodzina”.

W 1878 roku we Lwowie powstał dwutygodnik robotniczo-rzemieślniczy „Praca”, którego założycielem był Józef Daniluk. Zawiazał się także z inicjatywą Bolesława Limanowskiego Komitet Robotniczo-Socjalistyczny, który nie ujął się, zaś jeszcze przed wydaniem inicjatora z terenu Austrii, przekształcił się w Komitet redakcyjny „Pracy”. Należeli doń między innymi Józef Daniluk, Antoni Mańkowski, Bolesław Czerwiński, Ludwik Inlaender. Pierwszą próbą sformułowania programu były tezy zawarte w dodatku do „Pracy” z dnia 19 grudnia 1879 roku, następnie przedyskutowane na zebraniu robotniczym 28 grudnia.

Na zaktywizowanie się ruchu socjalistycznego w Galicji niewątpliwie wpływ miała także działalność agitacyjna prowadzona tam przez socjalistów z zaboru rosyjskiego z Ludwikiem Waryńskim na czele. Przybył on we wrześniu 1878 roku do Lwowa, a następnie udał się do Krakowa, gdzie utworzył nielegalne kółko wśród tamtejszej młodzieży. Jednakże już w

wstydził próżniactwa jako występkę podobnego do złodziejstwa”. Walka z burżuazją wymaga — według autora — stworzenia przez robotników własnych organizacji i stowarzyszeń, opartych o więź braterstwa, solidarności i ideały sprawiedliwości społecznej. Wskazywał on tu na I Międzynarodówkę, jej znaczenie dla zjednoczonej walki wszystkich robotników, bez względu na granice państwowe.

W 1872 roku we Lwowie założono pismo drukarzy „Czcionka”. Pozostawało ono pod silnym wpływem idei Bolesława Limanowskiego. Z piśmie tym związanych było wielu czynnych późniejszych działaczy socjalistycznych, jak np. Antoni Mańkowski (w latach 1892—1895 przewodniczący Komitetu Wykonawczego Galicyjskiej Partii Socjal-Demokratycznej). Także wśród młodzieży akademickiej znalazły odzew idee socjalistyczne. Do grona zwolenników socjalizmu należał tu między innymi Bolesław Czerwiński, twórca tekstu pieśni rewolucyjnej „Czerwony Sztandar”.

Należy także wspomnieć o wydanej w czerwcu 1871 roku przez Franciszka Głodzińskiego „Odezwie do współkolegów Towarzystwa Gwiazda”. Propagował w niej autor swego rodzaju wizję komunizmu koszarowego. Ideę tworzenia stowarzyszeń wytwórczych zawarł w

lutym następnego roku policji austriackiej udało się aresztować Ludwika Waryńskiego i towarzyszy. Odbijający się w Krakowie od 18 lutego do 18 kwietnia 1880 roku proces przeciwko polskim socjalistom stał się wbrew zamierzeniom władz źródłem rozpowszechniania idei socjalistycznych wśród szerokich kręgów tamtejszego społeczeństwa.

W październiku 1881 roku na łamach „Pracy” zapowiedziano zwołanie wiecu robotniczego we Lwowie, na którym powołano by partię socjalistyczną. Niestety władze sprzeciwiły się tym zamierzeniom i wiec nie doszedł do skutku, zaś na utworzenie masowej partii robotniczej w Galicji przyszło czekać jeszcze do 1892 roku.

Zanim socjaliści galicyjscy wystąpili z inicjatywą powołania partii socjalistycznej, opracowali wcześniej program, na którym miałyby opierać się działalność przyszłej organizacji robotniczej. W styczniu 1881 roku opracowany został przez Ludwika Inlaendera, Bolesława Czerwińskiego i Iwana Frankę (ukraińskiego pisarza, uczonego i publicystę) program zatytułowany ostatecznie „Program Socjalistów Galicyjskich”. Wkrótce uznano, że dla prowadzenia masowej agitacji potrzeba skonkretyzowania tezy zawartych w styczniowym programie i w maju tego roku ukazał się „Program Galicyjskiej Partii Robotniczej”.

Socjaliści galicyjscy tak przedstawiali organizację przyszłego społeczeństwa: „liczne gminy, jako właściciele i zarządcy narzędzi pracy, a mamy ustrój społeczny, który uważamy za jedynie sprawiedliwy”. Odrzucili zdecydowanie państwo, uważając je za organizację związaną z istnieniem politycznego i ekonomicznego ucisku. Zastąpić je winna wyłoniona w wyborach powszechnych „administracja wytwórców społecznych”. Argumentując konieczność zmiany ówczesnego ustroju społeczno-politycznego, wskazywali na niesprawiedliwość dziedziczą i amoralny charakter kapitalizmu. Własność prywatna powstała bowiem wskutek rozbój, a obecnie grabież tę usankcjonowano prawem.

W „Programie Socjalistów Galicyjskich” pojawiła się teza o przejściowym charakterze kapitalizmu, gdyż sprzeczność między społecznym charakterem wytwarzania a prywatnym zawłaszczaniem efektów pracy większości doprowadzi do jego upadku. Wyprowadzono z tego wniosek, iż walka z kapitalizmem ma charakter sprawiedliwy, gdyż prowadzona jest w imię interesów większości.

W programach z 1881 roku występowało hasło konieczności międzynarodowej współpracy robotników dla zwycięstwa socjalizmu. W programie styczniowym zastanawiano się, czy wybuch rewolucji nastąpić winien równocześnie na całym świecie, czy w Europie, czy tylko w poszczególnych krajach. Autorzy programu staneli na stanowisku, że czym większy obszar obejmie strefa walki tym większe szanse na zwycięstwo, z zastrzeżeniem, że należy dostosować formę walki do specyficznych warunków miejscowych.

Na szczególną sytuację w zaborze austriackim, mający wpływ na charakter walki o socjalizm — zdaniem socjalistów lwowskich — wpływała kwestia narodowa i pewna swoboda polityczna, która umożliwiała prowadzenie walki o interesy robotnicze na gruncie państwa burżuazyjnego. Dostrzegano tu rolę państwa w przygotowywaniu uspołecznienia środków produkcji, ponieważ przejmując od prywatnych właścicieli część kapitału, przygotowuje ono formę własności, która po zwycięstwie proletariatu — zdaniem autorów programu — łatwo przerodzić się może w społeczną.

W „Programie Socjalistów Galicyjskich” rozpatrywano dwie drogi prowadzące do socjalizmu. Pierwsza to czekać, aż sprzeczności kapitalizmu same go roznadzą i nastąpi gwałtowny wybuch rewolucji. Druga — wykorzystać już istniejące państwo burżuazyjne dla rozszerzenia władzy politycznej proletariatu w celu „stopniowego przygotowania nowej organizacji społecznej”. Socjaliści galicyjscy opowiadali się za tą drugą, uważając, że ten sposób jest pewniejszy, a także umożliwia pokojowy charakter rewolucji. Założeniem nowej organizacji społecznej miały być — według nich — spółki wytwórcze, przemysłowe i rolne złożone z samych robotników. Dla wyrównania szans proletariatu w walce o władzę polityczną wskazywano na konieczność wprowadzenia reform społeczno-politycznych w państwie kapitalistycznym. Stąd też w enuncjacjach programowych, jak i w publicystyce ówczesnych socjalistów zawarte są katalogi celów, zadań, do realizacji przed dewdującą walką o przyszły ustrój. Z wielu zadań programu wyróżnić można między innymi walkę o powszechne prawo wyborcze, wolność słowa, stowarzyszeń, zniesienie stałej armii, bezpłatną naukę.

W walce o reformy w państwie kapitalistycznym oraz w przygotowaniu mas pracujących do przejęcia władzy i ustanowienia nowych stosunków społecznych dewdującą rolę miała odegrać partia robotnicza. Socjaliści galicyjscy postulowali utworzenie federacji polskich, ruskich i żydowskich autonomicznych organizacji socjalistycznych.

Spróbowano miejsca ówczesni socjaliści galicyjscy poświęcać na omówienie kwestii narodowej. Stali oni na stanowisku iż ucisk narodowy jest nierozłącznie związany z kapitalizmem. Walka z kapitałem winna być połączona z walką o wolność narodową, choć ta ostatnia nie powinna przerezać się w nacjonalizm, ponieważ jest on wymysłem burżuazji dla odwrócenia uwagi robotników od kwestii społecznej. Warunkiem wykorzystania nacjonalizmu jest — według autorów „Programu Socjalistów Galicyjskich” — zastosowanie takich form i metod prowadzenia walki rewolucyjnej które odpowiadałyby warunkom narodowym. Nie negując międzynarodowego charakteru walki wskazywali na potrzebę akcentowania odrębności narodowościowych, nienarządzania uniwersalnych zasad i sposobów walki.

Poglądy polityczne socjalistów lwowskich wypracowane w latach 1879—1881 przez następnych 10 lat stanowiły platformę ideologiczną działania ruchu robotniczego w Galicji.

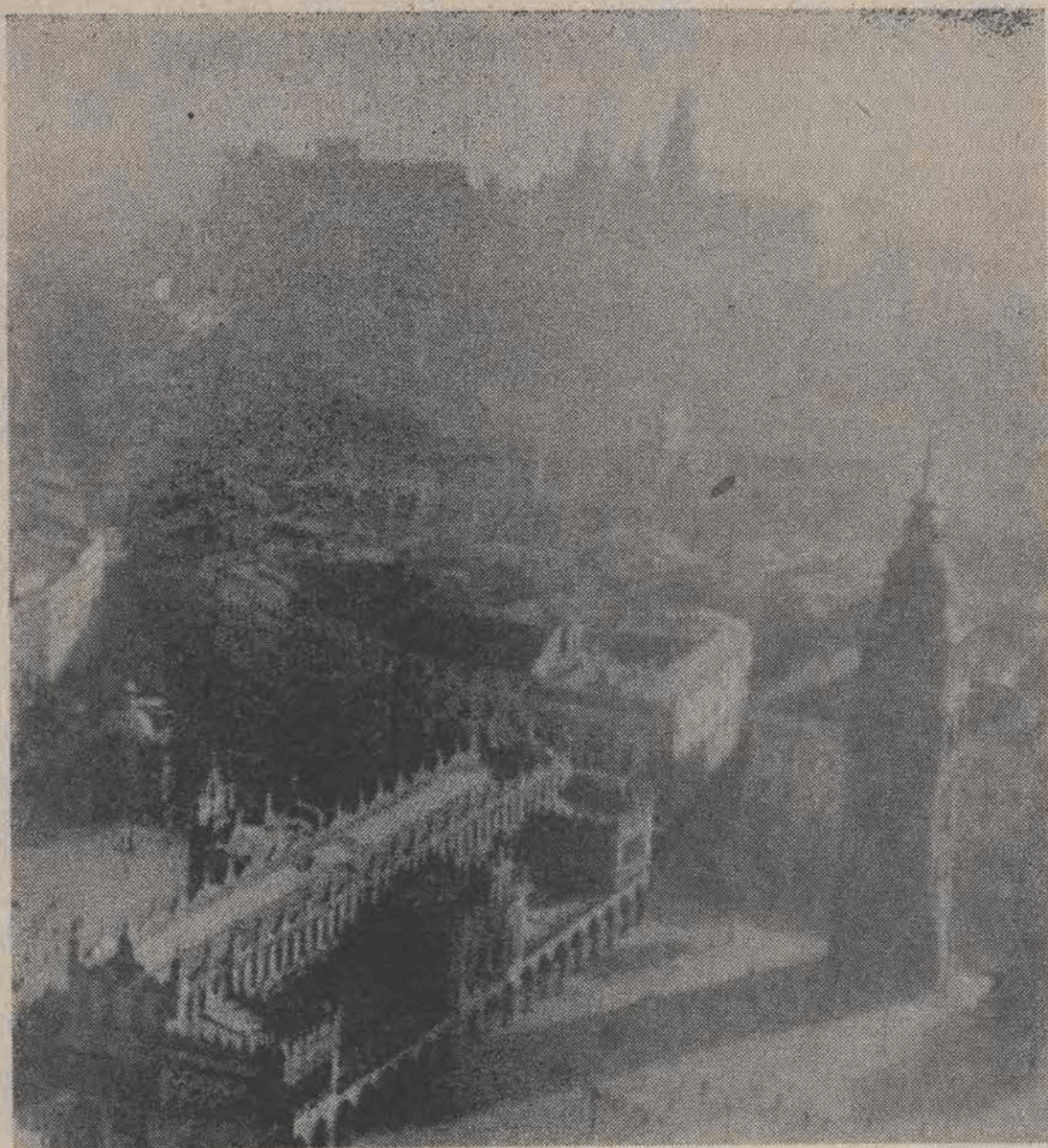


Foto: Archiwum

Czy „Central” to największy dom handlowy w Łodzi jest sprawą dyskusyjną. Największym powierzchnioowo domem jest „Uniwersal”, natomiast jeśli chodzi o sprzedaż towarów, o ilość klientów — to rzeczywiście „Central” przewyższa wszystkie placówki handlowe. Co to znaczy być dyrektorem takiego obiektu? Po prostu SDH „Central” to fabryka. Żeby zdać sobie sprawę z mechanizmów i wielkości działania tego domu, posłużę się małą statystyką. I tak: codziennie przyjmujemy około 12 tys. artykułów. Aby przedstawić to obrazowo przytoczę taki przykład: samochód ciężarowy „Star” ma ładowność 4,5 do 5 ton. My codziennie przyjmujemy 40 lub 50 „Starów” wypełnionych towarami. Ta ilość towarów jest wykładana codziennie na półki. Można więc sobie wyobrazić, ile towarów musi przejeżdżać przez ręce pracowników „Centralu” nim znajdą się one na półkach. W przeszłości staraliśmy się wyklądać towary wieczorem i rano tuż przed otwarciem, by ci, co przyjdą po zakupy mieli do nich łatwy dostęp. Dzisiaj wygląda to różnie, ale generalnie tę zasadę utrzymujemy nadal. Jednakże wykładamy towary także w ciągu dnia, co wiąże się z naszym pragnieniem, by trafiły one w maksymalnym stopniu do rąk bezpośredniego odbiorcy, a nie były wykupywane przez różnych pośredników i handlarzy. Zdaje sobie sprawę z faktu, że w zupełności nam się nie udaje wyeliminować handlarzy, ale jest to jakaś forma uchronienia towarów przed ich łapczywością.

Na mecie na stadion ŁKS przychodzi 15-20 tys. kibiców, a „Central” co dzień odwiedza od 150 do 190 tys. klientów. Każdego dnia zawieramy 50-80 tys. transakcji, to znaczy tyle zostaje wypisanych paragonów. Proszę sobie wyobrazić, że są to trzy pełne worki odcińców paragonowych! Wszystko to trzeba potem rozliczyć, posegregować, przechować. A wszystko to wykonuje ponad 500-osobowa załoga „Centralu”. Natomiast administracja, która nadzoruje nasz SDH „Central” plus dom handlowy w Pabianicach, „Duet” oraz trzy zespoły magazynów, liczą łącznie 46 osób! Natomiast wszystkich pracowników jest 1.010 osób. U nas na pięćdziesięcioosobowym stoisku mamy zaledwie dwóch kierowników. No tak, ale ten model pracy trzeba było wypracować. Jeszcze zanim został uruchomiony „Central” robiliśmy cały szereg różnych „przymiarek” organizacyjnych. Chodziło o to, aby SDH był jak najbardziej funkcjonalny, a przy tym jak najmniej uciążliwy dla klientów. Postawiliśmy więc sobie pytania: co w polskim handlu jest negatywnego? Co jest złe z punktu widzenia klienta? A więc: jako zły klient uważa wywieszki „Przepraszamy — remanent”, ponadto rzadko może on dotrzeć w swojej sprawie do kierownika, który z reguły albo wyszedł do biura, albo przyjmuje towar, albo go wcale nie ma. Są to niły drobniaki, ale jakże utrudniające kontakt kupującego z placówką handlową. Innym utrudnieniem są częste remonty. Staraliśmy się więc tego wszystkiego uniknąć. I to się nam udało. Inwentaryzacja w „Centralu” odbywa się dwa razy w roku, ale z tego powodu „Central” nie był ani przez godzinę zamknięty. Robimy ją w niedzielę, pracuje wtedy 60-80 komisji. I to tak sprawiło, że w poniedziałek, punktualnie „Central” otwiera swoje podwoje.

Wiemy, że dużo czasu pochłaniają tzw. raporty sklepowe. My poszliśmy na eksperyment: znieśliśmy raporty robione przez kierowników stoiska, a przeniesiliśmy je do pionu księgowo-finansowego. Stąd nasi kierownicy stoisk są w każdej chwili do dyspozycji kupujących. Ponadto obecność kierowników na sali sprzedażowej mobilizuje zespół sprzedawców do lepszej pracy. Inna sprawa: dotychczas w handlu istniał system, że stoisko lub sklep, to zespół 3-8-osobowy. Myślimy od razu tworzyć duże działy: początkowo 12-15-osobowe, co odstraszało wielu kierowników, gdyż bali się tego typu innowacji. Ale to było 10 lat temu, dziś u nas stoiska są 40- lub 50-osobowe i nikt jakoś z tego powodu nie wpada w panikę. Uzyskaliśmy przez to taki efekt, że u nas na te 50 osób jest zaledwie dwóch kierowników, gdy w innych sklepach na zatrudnionych 6-8 osób przypada także dwóch kierowników. To zestawienie mówi samo za siebie. Założyliśmy także, że aby nasz klient był zadowolony, musi na półkach być towar. Ale jeśli będziemy zaopatrywać się wyłącznie w miejscowym hurcie, to towaru nowoczesnego i w dostatecznej ilości mieć nie będziemy. Tak więc pierwszym naszym posunięciem taktycznym był kontakt z przemysłem. Stworzyliśmy stoiska patronackie: w dniu otwarcia „Centralu” było ich 12 i reprezentowały Zjednoczenie Cukiernicze, „Olimpie”, „Próchnika” itp. Dziś mamy już takich zakładów 133. Wyszliśmy poza Łódź, dotarliśmy do najodleglejszych krańców Polski. Tak więc początkowo mieliśmy patronaty poszczególnych zakładów, później już całych zjednoczeń, dziś, kiedy te ostatnie uległy likwidacji, mamy współpracę z nowo powstającymi zrzeszeniami przedsiębiorstw przemysłowych, a nawet wystąpiliśmy o przyjęcie nas na członka tych zrzeszeń.

Muszę powiedzieć, że po 10 latach nasza współpraca z zakładami całkowicie się sprawdziła. Zarówno my, jak i oni, doceniają tę współpracę jako potrzebną i przynoszącą obojmu korzyści. Co sprawiło, że jest tak, a nie inaczej? Chyba to, że w ciągu 10 lat przekazywaliśmy tym zakładom taką informację, jakiej im było potrzeba. A więc: czy produkowane przez nich nowości zostają dobrze przyjęte przez kupujących, czy też klienci uważają je za nieudane. Robiliśmy więc sporo działań marketingowych jeszcze przed wprowadzeniem jakiegos towaru na rynek, m.in. nasi klienci wypełniali ankiety, w których wypowiadali się na temat różnych wzorów odzieży, tkanin itp. Jeśli jakiś wyrób uzyskiwał 90 proc. akceptacji, był przez zakład produkowany, ale zdarzało się, że niektóre towary osiągały zaledwie 2 proc. uznania u kupujących i wówczas producent był zmuszony do zmiany czy to wzoru czy też fasonu. Dalej: zorganizowaliśmy akcję „Dyrektorzy za ladą”, kiedy to dyrektorzy z poszczególnych zakładów stawiali za lady „Cen-

Dyrektor dobry czy dyrektor sprawiedliwy

Rozmowa z dyrektorem SDH „Central”
LECHEM SOSNOWSKIM

„Centralu” i mogli nacalnie się przekonać, co kupujący sądzą o produkowanych przez nich towarach. To był dobry pomysł, który przyniósł sporo materiału analitycznego. Podam też inny przykład współpracy: w pewnym okresie „Lido” produkowało bardzo ładne golfy. Ponieważ miały one duże powodzenie, zakłady „Marko” postanowiły także wyprodukować podobne golfy. Niestety, klienci woleli towar z „Lido”, natomiast golfy z „Marko” zalegały półki. Co się okazało: ożół po naszych badaniach doszliśmy do wniosku, że golfy z „Marko” dlatego nie są kupowane, gdyż zwijają się pod szyć, czyli mają zły krój. Zaprosiliśmy więc dyrektora „za ladą”, rozmawiał z klientami i w wyniku tego produkcja została wstrzymana i opracowano nowy wzór. I ten wzór i krój chwycił. Nawet cieszył się lepszym wzięciem niż ten z „Lido”. Ten przykład świadczy o tym, że przy dobrej współpracy można uszczęśliwić produkcję przed wyprodukowaniem bubi. Takich działań w naszej krótkiej historii mieliśmy tysiące. Zakłady patronackie co kwartał otrzymywały od nas informacje, co z ich produkcji cieszy się popytem, a co nie, co należy usprawnić, zmienić, przemodelować itp.

Bardzo często byliśmy także pośrednikami pomiędzy różnymi zakładami. Posłużył się przykładem: postanowiliśmy kiedyś sprzedawać ubrania dzinsowe. Miały to być ubrania męskie składające się z materiałów w różnych kolorach: inny kolor spodni, inny marynarki, inny kamizelki. Miały to być także spodniczki z tyłkami materiałów mające piękne hafty. Spodniczki podjęła się nam uszyć spółdzielnia „Lipcowy Zryw” w Zdunskiej Woli. Niestety, nie było tam hafciarki. Ubrania męskie podjęła się uszyć złomerska „Zeta”, natomiast nie miała potrzebnego materiału. Wtedy zaczęliśmy pertraktować z zakładami „Harnama”, które zgodziły się wyprodukować dla nas różnokolorowy teksas. Przekazaliśmy natychmiast materiał do „Zety”. Uszyte ubrania sprzedaliśmy natychmiast. Podobnie było ze spodniczkami: „Kaliski Haft” położył na materiale haft, a „Lipcowy Zryw” uszył spodniczki. W ten sposób mogliśmy rzucić na rynek chodliwą nowość. I takich akcji mieliśmy także sporo.

Wymiany towarowe. Zaczęliśmy je zaraz po uruchomieniu „Centralu”. W 1973 r. jako pierwsi w Polsce, dokonaliśmy wymiany towarowej pomiędzy „Consumentem” z Lipska a „Centralem”. Była to transakcja opłacalna. Za nadwyżki naszego towaru otrzymaliśmy atrakcyjny towar niemiecki. Zostało to przychylnie zaakceptowane przez klientów. Wtedy i tę formę wymiany zaczęliśmy rozszerzać. Dziś mamy taką wymianę z trzema węgierskimi domami towarowymi, z jednym bułgarskim, czeskim, niemieckim i rumuńskim. Ponieważ te wymiany dawały nam dość dużo atrakcyjnych towarów, rozszerzyliśmy więc naszą działalność na domy towarowe z drugiego obszaru płatniczego.

go. W roku ubiegłym te wymiany zrównoważyły się z wymianami dokonywanymi przez nas z domami towarowymi krajów zrzeszonych w RWPG. Ostatnio doszedł nam nowy partner: firmy polonijne. Jest to poważny zastrzyk towarów, a że cieszą się one popytem, wystarczy odwiedzić nasze stoiska. I wbrew panującemu u nas kryzysowi, wymiana ta wykazuje tendencję wzrostową: w roku ubiegłym miałem pół miliona dolarów, w tym roku ta kwota zostanie przekroczona. A co w perspektywie? Właśnie płyną statkiem do nas spodnie welwetowe aż z Hongkongu. Sądzę, że w październiku trafią do rąk naszych klientów. Nie jest to pierwsza wymiana z tym kontrahentem. Dodam jeszcze, że wkrótce będziemy mieli towary ze Szwecji, Austrii, RFN itp.

Dlaczego „Central” zrosł się z nazwiskiem i imieniem Lecha Sosnowskiego? Wydaje mi się dlatego, iż spośród masowego przekazu są żywcem nastawione zarówno do sposobu pracy SDH „Central”, jak i do jego personelu. Sądzę, że przychylności dziennikarzy zawdzięczam tę moją „popularność” i to, że wymieniam się „Centralu” i moje nazwisko razem. A ja, gdziekolwiek byłem i pracowałem, zawsze holdowałem zasadzie dobrej roboty. Moją nacelną dewizą w życiu było i jest: uczciwie i dobrze pracować. Po prostu tak zostałem wychowany, to poczucie wyniosłem z domu i inaczej nie potrafię. A jaki powinien być dyrektor? Przede wszystkim taki, który czuje się razem z załogą. Nie może być tak, że dyrektor sobie, a załoga sobie. Istnieje załoga całego SDH „Centralu” i są jedynie funkcje: dyrektor, kierownik, sprzedawca. Ale za to co robi sprzedawca, ja ponoszę odpowiedzialność. Jeśli sprzedawca robi źle, znaczy to, że ja źle kieruję. Zawsze stawiam sprawę tak, że przedsiębiorstwo jest w równym stopniu moje, jak i załogi. Lubię dobrą robotę i tę cechę staram się wpoić załodze. Czy jestem wymagający? Tak, bowiem uważam, że nie ma sprawy nie do załatwienia. Przy tym tępię biurokrację. Jeśli jakiś zakład dziś nie może mi dać tego wszystkiego, co chciałbym mieć, muszę stworzyć takie warunki, żeby otrzymać to jutro lub pojutrze. A więc uczciwość i konsekwencja, rzetelność i odpowiedzialność.

Jak wygląda dzień dyrektora „Centralu”? Jestem już niekiedy od siódmej rano, czasem trochę później. Ale nigdy nie idę od razu do biura. Pierwsze kroki kieruję do budynku „Centralu”, muszę osobiście przekonać się, jak on się prezentuje na pięć minut przed otwarciem: czy wyłożona została masa towarowa, jak zostały ułożone towary, czy pracownicy i kasjerki są na swoich miejscach itp. I tak przez wszystkie piętra. Oczywiście rozmawiam z ludźmi: kierownikami, zaopatrzeniowcami. Ci ostatni, w moim rozumieniu, to nie tylko ludzie, którzy gdzieś tam jadą i coś tam przywożą. U mnie zaopatrzeniowiec odpowiada także

za to, żeby towar, który zakupił, rano znalazł się na stoisku. Jest to wynik długotrwałego wychowania. A u nas rotacja kadry jest nieznaczna, choć praca jest niezwykle ciężka. Z tych ludzi, którzy 10 lat temu byli przy otwarciu „Centralu” — dziś pracuje nadal połowa. Kiedy już wszystko sprawdzę, przychodzę do biura. Tu zastaję zawsze sporą kolejkę czekającą przed moim pokojem. Nie wspominam już o tym, że w drodze z „Centralu” do biura jestem indagowany, zaczepiany, pytany... Różni ludzie przychodzą do mnie na rozmowy. W większości są to przedstawiciele zakładów produkcyjnych, są także klienci ze skargami, są także ludzie przychodzący mi podziękować za coś, co bez trudu otrzymali w „Centralu”. Po tem odpisuję na korespondencję, prowadzę lub uczestniczę w naradach. Wychodzę do domu różnie: raz o 16, raz o 21 lub później. Czasem, jak to bywało rok temu, wzywano mnie w nocy, bo ludzie nie chcieli opuścić „Centralu” i trzeba było jakoś taki incydent załagodzić. A czasem samoczynnie włączają się czujniki alarmowe, więc przyjeżdżam o północy lub tuż po niej.

Czy znam receptę na prowadzenie takiej placówki jak „Central”? Tak, znam. Brzmi ona: po prostu trzeba kochać swój zawód i trzeba chcieć. A że my w „Centralu” kochamy to, co robimy, a do tego jeszcze bardzo chcemy, mamy na to sporo dowodów. Przez te 10 lat uzbierało się sporo odznaczeń, dyplomów, listów. Musieliśmy wydzielić specjalną izbę pamięci, by to wszystko jakoś pomieścić. A więc zdobyliśmy „Handlowy Znak Jakości”, otrzymaliśmy wiele listów z podziękowaniami od najwyższych władz partyjnych i państwowych, są listy od naszych klientów, zdobyliśmy I miejsce w ogólnopolskim konkursie na najlepszy supersam w kraju, kilkanaście razy byliśmy laureatami konkursów wojewódzkich, uzyskaliśmy także „Nagrodę Kowalskich” przyznawaną przez czytelników „Kurieru Polskiego”, czyli przez gazetę wychodzącą w Warszawie. Ja osobiście znalazłem się w zespole sześciuosobowym „Łódzianie Roku”, otrzymałem także tytuł „Szefa Roku”. Tak więc satysfakcji z tej niełatwej pracy jest sporo, ale ja tę pracę zwyczajnie lubię. Z okazji naszego 10-lecia nadeszło do nas wiele listów od naszych dostawców, na czym skorzystali z kolei klienci, gdyż każdy list zawierał mniej więcej taką wstawkę: „W związku z czym przesyłamy dodatkowo 10 tysięcy sztuk spodni męskich” lub „10 tysięcy sukienek” itp.

Kryzys nie oszczędził „Centralu”. To, co dziś jest na półkach, to zaledwie cząstka tego, co znajdowało się tu w połowie lat siedemdziesiątych. A że i dziś mamy czym handlować, jest wynikiem naszej generalnej zasady: być blisko przemysłu. To się opłaca, ale trzeba trzymać rękę na pulsie spraw przemysłowych. Jako przykład niech posłuży taki przypadek: z jakichś tam powodów przygotowany do wysyłki przez fabrykę towar eksportowy nie może opuścić kraju. Ja się nie waham, biorę go natychmiast. Stąd moje kontakty na co dzień z zakładami, stąd nieustanna informacja co, gdzie i kiedy. Ja muszę śledzić produkcję, być stale gotowym do odbioru towarów. Ale takie układy, taka działalność — to wynik wieloletnich kontaktów „Centralu” z zakładami, to wzajemne zaufanie, wreszcie to świadomość, że jesteśmy nie tylko odbiorcą, ale i partnerem handlowym.

Wśród ludzi oczekujących rano na otwarcie „Centralu” są nasi stali nabywcy. Znamy ich, poznajemy po twarzach. To spekulanci. Jest to plaga, z którą walczymy, oczywiście w miarę naszych możliwości. Ostatnio wydałem zarządzenie, by sprzedawczynie wykladały co atrakcyjniejsze towary na półki w takich momentach, kiedy stwierdzają, iż na piętrze nie ma spekulantów. Sprzedawczynie znają ich i widzą, czy są zgrupowani czy nie, czy okupują stoiska czy też zrzęzynowani odchodzą. Przy okazji chcę z satysfakcją powiedzieć, że przez te wszystkie lata nie zdarzyło się, by ktoś z naszego personelu uprawiał handel, brał łapówki czy sprzedawał cokolwiek po wyższych cenach niż te oficjalne. Zresztą bez naszych ludzi nie byłoby „Centralu”. Zespół jest zgrany, ufamy sobie. Mógłbym wymienić sporo nazwisk ludzi zasłużonych, byłaby to długa lista. Wspomnę jedynie tych najdłuższ pracujących: Genowefę Kokoszkę, Krystynę Kubiak, Stanisławę Dworzyńską, Felicjanę Daszkowską, Ewę Glankowską, Bolesława Świącieckiego, Zygmunta Tworosa, Janinę Aleksandrowicz... Współpracuje z nami nasza Rada Nadzorcza, reprezentująca interesy naszych klientów, pomagają nam inni ludzie dobrej woli. Bo „Central” to przecież ogromna fabryka w ruchu.

Przed otwarciem „Centralu”, przed jego drzwiami, rano zbiera się ogromny tłum. Po otwarciu, budynek wkrótce całkowicie się wypełnia. Nie pomagają stoiska obok budynku, nie poprawia sytuacji organizowanie stoisk w poszczególnych zakładach pracy. Po prostu „Central” staje się za mały. Dlatego przejeżdżamy budynek przy al. Mickiewicza, obok „Juventusa”, większy o całe 100 metrów kw. od „Centralu”, gdzie urządzimy działy: dziecięcy, młodzieżowy, dział dla nowożeńców, a także duży bar samoobsługowy. W tym roku będzie gotowa dokumentacja wykończenia wnętrza, w przyszłym zakończymy już adaptację, a w 1984 przywitamy pierwszych klientów. Skoro się rozwijamy, musimy zmienić formy współpracy z naszymi kontrahentami. Chcemy po prostu tworzyć spółki z niektórymi fabrykami. Nawiazemy także kontakty z tworzonym obecnie przemysłem terenowym, a także pozyskamy do wymiany kolejne firmy polonijne.

Pytania zadawał
i odpowiedzi notował:
EUGENIUSZ IWANICKI

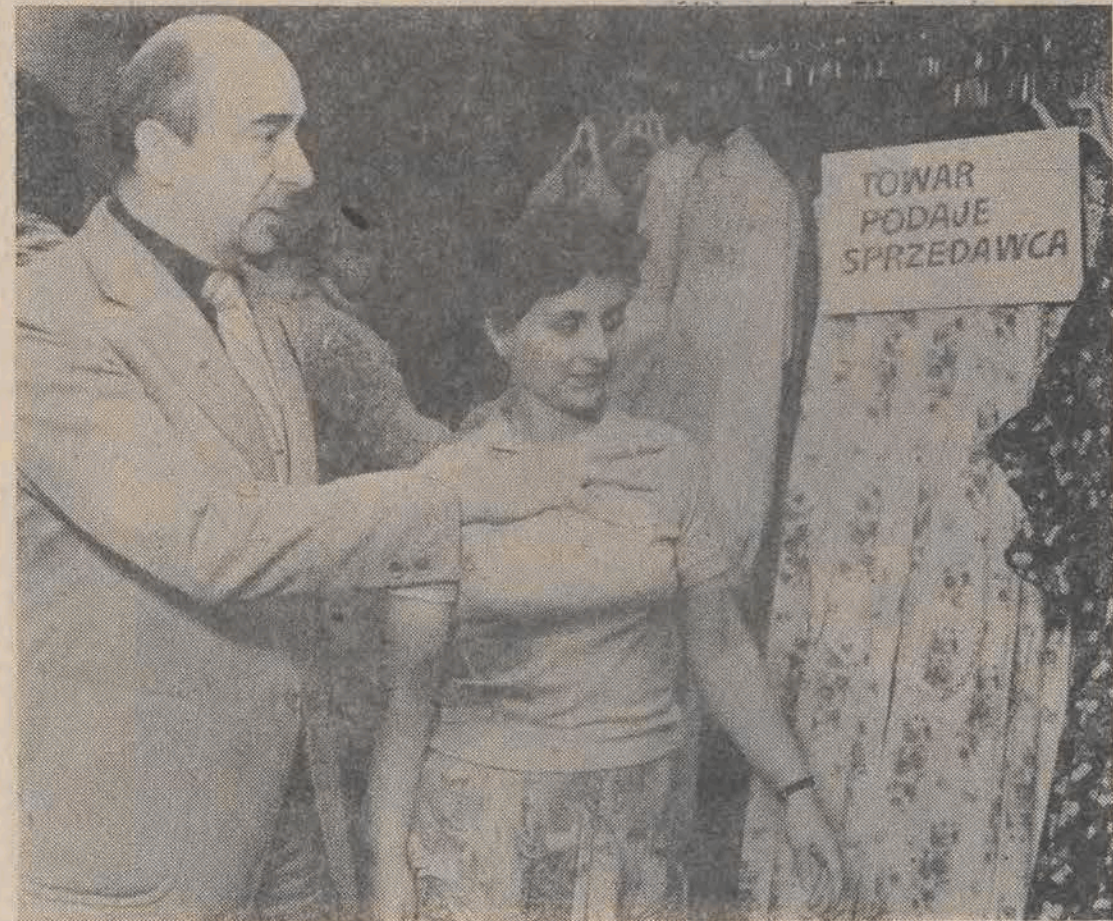


Foto: M. Zajdler

Toczy się od jakiegoś czasu dość kuriozalna dyskusja o zawieszonym mocą stanu wojennego Związku Literatów Polskich. Przeważnie ściera się w niej nie tyle poglądy, co emocje, część osób takiego Związku nie chce. Inni domagają się weryfikacji bądź rozdrobnienia literackiej organizacji na kilka korporacji grupujących ludzi raczej według rzeczywistych orientacji (niekoniecznie artystycznych), są wreszcie i tacy, którzy widzą sens dotychczasowego kształtu ZLP. Jest to dyskusja raczej anemiczna i w zasadzie zasługująca na uwagę z jednego zwłaszcza powodu — oto wszyscy bez mała jej uczestnicy więcej dają do zrozumienia niż mówią. Prawdziwym wyłomem w tej metodzie stał się dopiero felieton Jerzego Urbana pt.: „Demon” („Tu i Teraz” nr 13). Prowadzi tam Urban stałą rubrykę pod nazwą „Samosady”. I rzeczywiście — *noblesse oblige* — dokonał się lynch. Rozprawił się Urban ze Związkiem Literatów Polskich, choć równie dobrze, niewiele tylko w swym tekście zmieniając, dokonać mógłby osądu prawie każdego innego związku twórczego.

Zasadniczą tezą rzeczonoego felietonu jest przeświadczenie, iż brak literackiej organizacji nie tylko literaturze nie zaszkodzi, ale wręcz odwrotnie — przypomni jej czasy Sienkiewicza, Żeromskiego. Bo choć nie było wtedy Związku Literatów — to byli prawdziwi pisarze. (Notabene autor „Demon” przeoczył chyba fakt iż nie kto inny tylko wymieniony przezeń Stefan Żeromski był projektodawcą i współtwórcą Związku Zawodowego Literatów Polskich w 1920 roku). Żeby być autorem wziętym i czytany nie trzeba przecież należeć do żadnego zrzeszenia ludzi pióra, prawda to tak stara jak historia piśmiennictwa — przekonał się zresztą o niej Jerzy Urban na własnej skórze, opuszczając szeregi Stowarzyszenia Dziennikarzy Polskich czas jakiś przed jego rozwiązaniem.

Powiada Urban: „Istnienie lub nie Związku Literatów jest rzeczą całkowicie obojętną z punktu widzenia dobra czytelnika (...). Problem ten interesuje tylko literatów i władzę, jest ich ekskluzywną sprawą”. I dodaje, iż sprawa ZLP wyniknęła li tylko z tego, że na przełomie lat czterdziestych i pięćdziesiątych ówczesne KC chciało przekształcić ZLP w ważny urząd do spraw inżynierii dusz ludzkich. Ale to przedsięwzięcie nie tylko się nie udało, znacznie gorzej, bo oto narodził się demon, który nekai i nekai... władzę.

Sprawa nie jest tak prosta i jednoznaczna jak to Jerzy Urban przedstawia. Organizacje literackie w Polsce pojawiły się i spełniały ważne funkcje o wiele wcześniej niż obradował zjazd szczeblowski w 1949 roku, bo do niego głównie odnosi się uwaga Urbana o urzędzie do spraw inżynierii dusz. Na przykład przed wojną

GŁOS W DYSKUSJI O PRZYSZŁOŚCI ZLP

Egzorcyzmy

istniało ich u nas kilka: Związek Zawodowy Literatów Polskich, PEN Club, Towarzystwo Literatów i Dziennikarzy, Związek Autorów Dramatycznych, wreszcie ekskluzywna Polska Akademia Literatury. Spełniały różne role i różny był też do nich stosunek poszczególnych pisarzy i poszczególnych przedstawicieli władzy. Z grubsza można się o tym dowiedzieć, zaglądając do opublikowanej równo przed półwieczem książki „Życie i praca pisarza polskiego”, opracowanej pod kierunkiem Ludwika Krzywickiego przez Instytut Gospodarstwa Społecznego. Nawiasem mówiąc podobna w zamierzeniu rzecz ukazała się również niedawno, dzieło lat temu, ale jej autor, Andrzej Ściński, bał się już mówić o pisarzach i zatytułował ją ostrożnie: „Literaci polscy”. Istnieje bowiem w znacznej części społeczeństwa przekonanie (a holdować mu zdaje się również Jerzy Urban), że dziś po prostu pisarzy u nas nie ma, za to zaproszili się literaci. Piszą książki, których nikt nie czyta, a jeżeli rządzą duszami, to dąby się je zliczyć na palcach jednej ręki. Urban naliczył aż trzy dusze („żona, uboczna panienka i ewentualnie jeden jakiś krytyk”), którymi rozporządza typowy literat polski. Przypadałoby więc, że w tym przypadku pamfletista nie okazał się zbyt hojny, ale w istocie mógł się zdenerwować, gdy wpływ współczesnej literatury polskiej na czytelników mierzył zechciał — jak Bóg przykazał — jej poczytnością. Rzeczywiście, książkę poczytności mało, a gdy się już pokażą — to w tak niskich nakładach, że rychło stają się legendą. Całe zło bierze się stąd — sugeruje Urban — że wydawnictwa miały myśleć o książkach i czytelniku zajmują się przeważnie producentami książek czyli literatami. I wymienia rozmaite okoliczności, które wpływają na tak zwaną politykę wy-

dawniczą. A to jakiegoś autora trzeba uhonorować; tamten jest pro, więc rozumie się samo przez się, że należy mu wydać książkę; ów jest anty, zatem jeszcze łacniej trzeba mu książkę wydać, by zyskać legitymację szerokiej formuły polityki kulturalnej etc., etc. Co zaś z powyższą taktyką Związek Literatów jako organizacja ma wspólnego — o tym w zasadzie w „Demonie” już nie czytamy. W każdym razie nie wynika z tekstu Urbana jakoby Związek Literatów Polskich owe mechanizmy stwarzał. Nie on w końcu dysponował wydawnictwami i nie poszczególne oddziały ZLP zajmowały się układaniem planów wydawniczych w kolejnych oficynach. Inna sprawa, czy i w jakim zakresie środowisko literackie pozwalało się kokietować przy pomocy wspomnianych planów.

W błyskotliwym jak zwykle felietonie, choć zarazem w grubiańskim nie jak zwykle tonie, zajmuje się Jerzy Urban niektórymi tylko grzechami ZLP jako instytucji pretendującej do zajmowania poczesnego miejsca w intelektualnym życiu kraju. Są to pretensje bez pokrycia — stwierdza — a biorą się z rytuału i przyzwyczajenia do takiego mniemania o roli Związku Literatów Polskich, co z kolei jest wynikiem myślowego lenistwa, bowiem dziwnym jakimś zrządzeniem losu nikt nie zajął się przewartościowaniem miejsca i roli ZLP w naszym życiu publicznym. Ale teraz nadarza się okazja, ponieważ niektórzy literaci zajęli się z przyczyn kompensacyjnych, jak mówi Urban — polityką, zamiast pisać książki które można by wreszcie czytać. Jest to chyba jedyny moment, w którym pamflet Jerzego Urbana mógłby mi się spodobać: ponieważ otwarcie i dobitnie podaje przyczyny, dla których ZLP został zawieszony i z powodu których rozpoczęła się dyskusja nad jego ewentualnym przyszłym kształtem, swoista „gra” o Związek (owe polityczne motywy inni dyskutanci jakby wstydliwie i mimochodem zaledwie wspominają). Niestety jednak, nie przypadły mi do gustu egzorcyzmy felietonisty „Tu i Teraz”. Nie uważam również za najtrafniejsze stawianie za przykład Ameryki, gdzie „każdy z osobną literat jest prywatną osobą i jako taką zerem lub wielkością”. Jest to po prostu przykład — delikatnie mówiąc — wyrwany z kontekstu.

Z niektórymi propozycjami Jerzego Urbana polemizował Daniel Passent w felietonie „By rozum był przy inteligencji” („Polityka” nr 29). W tym niełatwym okresie z pewnością warto zachować rozum albo chociaż rozsądek. Przypominanie hasła „pisarze do pióra”, nawet jeśli nie zostaje ono wyartykułowane *expressis verbis* niekoniecznie musi budzić najlepsze skojarzenia. I samo w sobie niczego nie rozwiązuje. Podobnie jak projekt przekazania kamienicy na Krakowskim Przedmieściu na przychodnię lekarską.

TADEUSZ BŁĄŻEWSKI

Milosz o Brzozowskim

Dwudziestotysięczny nakład „Człowieka wśród skorpionów” został wykupiony błyskawicznie, zniknął. Ta znakomita książka, studium krytyczne Czesława Miłosza o Stanisławie Brzozowskim (1878–1911), dopiero po dwudziestu latach doczekała się wydania krajowego. Autor w sposób obszerny i wyczerpujący mówi o życiu i twórczości oraz głośnej kłódkę i do dzisiaj do końca nie wyjaśnionej „sprawie” Brzozowskiego, filozofa, krytyka literatury i sztuki, powieściopisarza, intelektualnego przywódcy polskiej inteligencji socjalistycznej, prekursora nowoczesnej myśli filozoficznej, czołowego przedstawiciela okresu Młodej Polski Choroba (gruźlica) i „skorpiony” (wg Miłosza była to bezpardonowa krytyka polityczno-literacka) wygnali Brzozowskiego z kraju i kazali umierać we Floren-

cji. Gdy doda się do tego zarzut — podejrzenie o współpracę z carską Ochraną, czara losu nie tylko się przepełnia, ale śmiertelnie pęka. Opinia o apologetycznym studium krytycznym Miłosza jest jednoznaczna: to najwybitniejsza aktualizacja myśli i problematyki Brzozowskiego, swoiście prowokacyjna, gdyż ukazuje rozmiar grubego niedopatrzania, jakim jest fakt niewydania do dnia dzisiejszego pełnego zestawu dorobku pisarskiego twórcy „Idei”, „Głosów wśród nocy”, „Samego wśród ludzi”, „Pamiętnika”. Jak Miłosz uzasadnia swą dość bezprzekładną pochwałę Brzozowskiego? „Zarzuca mi, że nie oświeciłem krytycznie poglądów Brzozowskiego i że mój traktat o nim jest apologia. Zarzut przyjmuję. Napisałem ten szkic bez pretensji do stawiania kro-

pek nad i, bez pretensji do oceny trwałej. Cel mój był ściśle utylitarny. Ponieważ z podanych przeze mnie powodów o Brzozowskim mówi się dzisiaj kwaśno, trwożliwie, spuszczając oczy i obwarowując się mnóstwem zastrzeżeń, a nowe wydania jego pism na próżno czekają na łaskę cenzury, ktoś musiał się zdobyć na apologię. Co prawda splatanie tego wienca jest dość zmusne i łatwiej byłoby kupić prostszy w kwaciarni, co dałoby też przyjemność oglądania florenckiej wiosny, ale myślę, że ten dowód pamięci jest potrzebny. Czytelnik może się z Brzozowskim zgadzać albo nie zgadzać, mnie chodziło jednak przede wszystkim o właściwą rangę krzywdzonego pisarza. W literaturze polskiej, przeciętnie, jak może żadna inna, fałszywymi wielkościami, których

się nie tyka dla świętego spokoju, ustalenie właściwych rang nie przynosi bez trudu. Jestem zresztą przekonany, że to co drukuję, jest tylko jednym z wielu studiów, jakie o Brzozowskim będą napisane. Jeżeli dostarczyłem kilku choćby sprostowań trafnych, to już dobrze.”

Sprostowań trafnych jest w książce bardzo wiele i sprawiają one, że ten obszerny szkic nie jest chłodną rozprawą badawczą, operującą tylko szkieletem i okiem, Miłosz dołączył swe serce, męską czułość, obiektywizm pisarski. To bardzo wiele, gdy zważy się, jakie epitety i określenia przylgnęły przez lata do Brzozowskiego: wyrodek inteligencji, niepojęta nawałnica, jednoosobowa armia, wychowawca narodu... Ten autentycznie kontrowersyjny autor, rzeczywiście wywoływał trwogę i drżenie, był dla wszystkich (!) niewygodny.

Esaj krytyczny Miłosza gruntownie oczyszcza imię Brzozowskiego. Przypomnijmy lata przed przedwczesną śmiercią: pokonany, wystawiony na kpinę, miał uchronić się od tego, co w takiej sytuacji zdawało się nie-

uniknione: od nienawiści i goryczy. W tej trudnej próbie potwierdzał swoim zachowaniem się wszystkie swoje nauki: ZADEN CZŁOWIEK NIE JEST WYSPA, NAWET W OBLICZU WŁASNEJ ZAGŁADY NADAL JEST CZĘŚCIĄ WIELKIEGO KONTYNETU LUDZKOSCI. Brzozowski odchodził spośród żywych, nie skarżył się. To była i jest miara wielkości tego człowieka. Miłosz trafnie ją ukazuje.

Praca w Polsce jest chora. Przypomnijmy co na jej temat pisał w „Ideach” Stanisław Brzozowski: „Jeżeli praca nie może być swobodna, (jeżeli) nie będzie nigdy wyzwolona, jeżeli motyw pewnych własności istnienia, strach, życie przemagać będą w klasie pracującej nad surowym umiłowaniem godności i swobody — praca organizowana z góry przewidywać będzie zawsze pracę swobodną. Klasa robotnicza ponosić będzie jawne i gorsze, bo ukryte, zatrutujące duszę klęski: godność ludzka pozostanie pojęciem problematycznym. Człowiek będzie nie istotą metafizyczną, lecz czymś utrzymywany przez strach i użycie w nało-

gu trwania. I tu rozstrzyga tylko walka; tylko wyodrębnienie się, zbieranie sił po każdej porażce. Gdy klasa robotnicza zdobędzie zdolność swobodnego wytwarzania masy pracy, przeważającej nad tą, jaka przy jej skrupowaniu wytworzona być może — zwycięży. Jeżeli to jest socjalizmem, jestem socjalistą, jeżeli nie — nie. Ani kolektywizm, ani szczęście powszechne, sprawiedliwy ustrój życia nie są dla mnie kwestiami rozstrzygającymi: wierzę w znaczenie walki robotniczej i jestem obojętny na formuły.”

Miłosz trafnie punktuje, że Brzozowski za wzór kulturalny przyszłości obierał polskiego robotnika, który, podobnie z tradycji wszystko, co żywotne i zgodne z dążeniem do przekształcenia Polski w nowoczesny kraj przemysłowy.

Dlaczego ta prognoza sprzed prawie wieku realizuje się z takim trudem, z takimi oporami?

EMIL BIELA

Czesław Miłosz „Człowiek wśród skorpionów”; PIW, Warszawa 1982, str. 174, cena 100 zł.

Kronika kulturalna

Przed kilkoma dniami zakończyły się trwające od 20 września Dni Muzyki Oratoryjnej i Organowej. Koncerty odbywały się w Łodzi, a także, co jest nowością tegorocznych Dni, w Pabianicach.

Nowy sezon teatralny rozpoczął łódzki Teatr Wielki. O bogactwach planach repertuarowych na ten rok już informowaliśmy. Dziś więc zasygnalizujemy jedynie, że spektaklem inauguracyjnym sezonu było przedstawienie „Fideliu”. W przedstawieniu wystąpili: T. May Czyżowska, E. Kwaśniewska, J. Dobosz, J. Jurkiewicz, Z. Krzywicki, W. Malczewski, A. Niemierowicz, R. Werliński i J. Zipser. Orkiestrą dyrygował T. Kozłowski.

W Galerii Sztuki obejrzeć można wystawę malarską M. Korczaka.

W Salonie Sztuki Współczesnej swoje prace (malarstwo i rysunek) prezentują K i B. Liberscy.

W Galerii Bałuckiej natomiast czynna jest wystawa fotograficzna. Autorem prac jest E. Haneman.

W dniach 18–21 listopada w Łodzi odbywać się będzie V Festiwal Filmów Dydaktycznych. Protektorat nad Festiwalem sprawują ministrowie oświaty i wychowania, prezydent miasta Łodzi i sekretarz KŁ PZPR. Program Festiwalu jest niezwykle bogaty, obok pokazów konkursowych przewiduje: wykład ministra oświaty i wychowania, sesję metodyczną, udział w lekcjach pokazowych w wybranych szkołach, sympozja.

Powołano już komitet organizacyjny i jury, które przyzna nagrody w czterech kategoriach: filmów dydaktycznych dla szkół podstawowych, zawodowych, popularizujących wiedzę i dla wyższych uczelni.

Zakończyły się tegoroczne kieleckie spotkania poetyckie „Świątochrzyska liry poezji”. Laureatem został Zdzisław Antolski z Kielc, nagrodę specjalną przyznano Adamowi Woźniakowi z Plocka; wyróżnienia otrzymali Marek Świecia z Kielc i Piotr Mianowski z Wągrowca.

W Krakowie trwa festiwal muzyki Karola Szymanowskiego. W festiwalu zorganizowanym przez Filharmonię Krakowską im. Karola Szymanowskiego udział biorą m. in. Jadwiga Romańska, Stefania Woytowicz, Krystyna Szostek-Radkowska i Andrzej Hiolski.

Ogromny sukces odniosła krakowska wokalistka Elżbieta Szmajka na XXIX Międzynarodowym Konkursie Wokalistów w Hertogenbosch (Holandia). Uznana została za najlepszą śpiewaczkę konkursu i otrzymała pierwszą nagrodę. W konkursie uczestniczyło 130 artystów z całego świata. Wokalistce przyznano także nagrodę miasta Hertogenbosch, której już od wielu lat nie przyznawano w ogóle.

Z okazji przypadającej w tym roku setnej rocznicy urodzin Karola Szymanowskiego, jedną z imprez związanych w obchody Roku Karola Szymanowskiego jest zorganizowana w warszawskiej „Zachęcie” wystawa pn. „Muzyka w malarstwie polskim”.

Zgromadzone tu 90 obrazów olejnych i 12 rzeźb; wśród autorów najwybitniejsze nazwiska twórców polskiej sztuki: Xawerego Dunikowskiego, Tytusa Czyżewskiego, Zbigniewa Pronaszkę, Jacka Malczewskiego, Tadeusza Makowskiego, Piotra Potworowskiego i wielu innych.

Związki muzyki z malarstwem w sztuce polskiej odnaleźć można już w XII wieku. W epokach późniejszych był to bardzo popularny temat dla wielu artystów.

Na obecnej wystawie przedstawiono zaledwie małą część z bogatego dorobku naszej sztuki inspirowanej muzyką. Oglądamy różne gatunki artystyczne: portrety muzyków i kompozytorów, sceny rodzajowe z muzykującymi postaciami, sceny z koncertów, martwe natury z instrumentami muzycznymi, a także kompozycje, w których atrybuty muzyczne pełnią rolę symbolu.

Teatr Lalki i Maski „Groteska” w Krakowie zaprezentował ostatnio widzom nową premierę: „Pieśń nad Pieśniami” w przekładzie Czesława Miłosza. Utwór ten, obok ksiąg Hioba, Psalmów, Przypowieści Mądrości należy do ksiąg Starego Testamentu.

Autorzy przedstawienia: reżyser i inscenizator Vojo Stankowski ze Szwecji, scenograf Tadeusz Smolicki oraz Paweł Śmida, także ze Szwecji opracowujący lalki nawiązali do starej formy teatru japońskiego bunraku.

18 września br. odbył się finał ogólnopolskiego konkursu na fraszkę o Zduńskiej Woli. Pomysł zrodził się rok temu i, jak odnotowała prasa (m. in. Odgłosy, Szpilki, gazety codzienne), zyskał sobie sporą popularność. Tegoroczny finał był więc drugim z kolei. Okazało się przy tym, że fraszkopisarstwem w Polsce zajmuje się sporo osób, że ta forma literacka uprawiana jest od morza do Tatr. Wpłynęło bowiem aż 360 tekstów, co może świadczyć o popularności, jaką cieszy się w kraju Zduńska Wola, albo sugeruje posuch na konkursy.

Sądowi konkursowemu przewodniczył Wielki Mistrz Dow-

II nagrodę w wysokości 2.002 zł przyznano Wacławowi Klejmon-towi z Oleka;

III nagrodę w wysokości 1.001 zł zdobył zduńskowolaniec Zygmunt Wróblewski.

(Pragnę zwrócić uwagę, że w stosunku do roku ubiegłego, wysokość nagród uległa podwyższeniu: wiadomo — dewaluacja).

Później posypały się wyróżnienia nagrody pocieszenia, okolicznościowe, nagroda Prezesa Towarzystwa Przyjaciół Zduńskiej Woli, nagroda skarbnika tegoż Towarzystwa...

W sumie bawiono się świetnie, prezentowane publiczności fraszki były dowcipne, celne, nieprezycyjne. Wielki Mistrz Dow-

Fraszki o Zduńskiej Woli

pu i Satyry, naczelny redaktor „Szpilek”, Witold Filler, które mu pomagali miejscowi szamani Feliks Rajczak i Stanisław Fuks. Ponieważ impreza dotyczyła utworów drobnych, lecz ostrych w swojej wymowie, red. W. Filler otwierając część oficjalną uczynił to z dostojnym skupieniem, hołdując znanej prawdzie, że dowcip i humor są sprawą poważną.

A potem posypały się nagrody. Właściwie był to róg obfitości i na dobrą sprawę nie wiem, czy bodaj jedna fraszka została nie nagrodzona. I tak:

I nagrodę w wysokości 3.003 zł otrzymał Rafał Orlewski z Piotrkowa Tryb. za zestaw „Zduńskowolanie — swawolanie”;

cipu i Satyry w swoim końcowym przemówieniu rzucił parę sformułowań, które zdążyło zanotować a które są gruntozną wiedzą o czasach, w jakich żyjemy. Np. mówiąc o ludziach sztuki, z melancholią westchnął, że „mamy za dużo obowiązków, a za mało chętności”, a kreśląc pozytywny obraz, powiedział, że „uchwytnie pozytywki są z rewolucji, a nie z satyry” i że „żyć bez rewolucji można, bez satyry nie sposób”. Na zakończenie dodał, że w myśl zasady do trzech razy sztuka — konkurs na fraszki o Zduńskiej Woli odbędzie się po raz trzeci i ostatni w przyszłym roku.

I to by było na tyle.

EUG.

W akacje 1985 roku spędziłem w Zakopanem, ciągle padający deszcz nie pozwalał na wędrowki po górskich szlakach, toteż bardzo się ucieszyłem ze spotkania mojej polonistki z wieloletniego liceum — Marii Niekrasowej. Moja była nauczycielka znała wielu przedstawicieli świata literackiego osobiście, a ja chłonałem jej opowieści o Kazimierzu Wyce, Jalu Kurku, Janie Wiktorze i jeszcze o wielu innych poetach i pisarzach. Pewnego razu zaproponowała mi wycieczkę na Harendę. Pani Maria chciała przedstawić mi Marię Kasprowiczową, z którą się przyjaźniła. Na Harendzie byłem już kilka razy, ale panią Marię widziałem do tej pory raz czy dwa razy, bowiem po muzealnych pokoiach domu Jana Kasprowicza zawsze oprowadzała mnie jej siostra — pani Nieta.

Niewiele pamiętam z tej wizyty. Zapamiętałem tylko wspaniałe nasturcje kwitnące w korytkach na werandzie, trzy potężne koty, z których jeden nazywał się Mojżesz i ogromne oczy pani Marusi jakże jak na portrecie Witkacego.

Od lipca następnego roku zamieszkałem na stałe w Zebie, wiosce położonej za Poroninem, wysoko w górach, dokąd wówczas można było się dostać tylko pieszo. Praca kierownika szkoły nie zajmowała mi wiele czasu i każdego dnia mogłem sobie wędrować po okolicy albo uciekać do Zakopanego. Wracając stamtąd często wstępowałem na Harendę. Pani Nieta zaczęła chorować na oczy, zmieniła się bardzo. W końcu przestała widzieć zupełnie. Nie zdejmowała ciemnych okularów, które jakoś dziwnie wyglądały przy wspaniałych srebrnych kocykach.

Lato 1968 roku nie należało do spokojnych. Zakopane i okolice były ciche i wyludnione. W sklepach nie było kolejek, ulice prawie puste, a w kawiarniach i restauracjach kelnerzy ziewali z nudów. Pod koniec sierpnia, wracając do domu, wstąpiłem na Harendę. Wiedziałem, że pani Marusia ma nogę w gipsie po złamaniu i trudności w poruszaniu się, pani Nieta na pewno ciekawa była co słychać na Karpówkach.

Obie panie siedziały, wygrzewały się na słońcu, które już, już miało się skryć za górski las. Pani Marusia, nad wyraz ożywiona, powiedziała — Przyjechali Henrycy!

— Jakże Henrycy?

— Nie „jakie” tylko „jacy”! No, nie wiesz?

Worcellowie! Spia teraz, musisz ich koniecznie poznać jak wstana.

Pani Nieta, z sobie właściwym akcentem spytała:

— Nu, a ty czytał Worcella?

— Nie — przyznałem ze wstydem.

— Musisz koniecznie, koniecznie przeczytać! A już musowo „Zakłete rewiry”. Spieszyłem się tego dnia bardzo. Nie zobaczyłem „Henryczków” pani Marusi.

W końcu września albo na początku października, pani Marusia zapytała mnie o „Zakłete rewiry”.

— Nie miałem czasu, ale przeczytałem na pewno.

— Po mojej śmierci chyba.

10 grudnia 1968 roku po operacji zmarła pani Marusia. W jakimś czasie potem odeszła pani Nieta. „Zakłete rewiry” przeczytałem już po pogrzebie pani Marusi.

Od tej pory zainteresowałem się twórczością Henryka Worcella, który stał się dla mnie coraz bardziej oryginalnym pisarzem, a gdy poznałem jego biografie, uznałem ją za bardzo różniącą się od biografii innych pisarzy i zupełnie nietypową.

Prawdziwe nazwisko Henryka Worcella brzmiało Tadeusz Kurtyka, urodził się on 1 sierpnia 1909 roku w rodzinie chłopskiej w Krzyżu koło Tarnowa. Rodzice jego, Wojciech i Maria z Jarutów, gospodarowali na sześciokhektarowym gospodarstwie. Ojciec Tadeusza interesował się polityką, kandydował nawet na posła, pisywał artykuły do „Przeglądu Ludu”. Miał opinię człowieka światłego i ambitnego.

A młody Tadeusz regularnie naukę zakończył samowolnie, zwił z klasy piątej tarnowskiego gimnazjum, gdzie rozpoczęła się dla niego praca w gospodarstwie i przy wyrębie lasu. Nie chciał ścieżką na roli, nudził się na praktyce, którą z wielkim trudem zalał mu matka w sklepie kolonialnym, nie wyszło nic z pracy w małej restauracji. Te wspomnienia z dzieciństwa ożyły później w motywach zbeletryzowanych dzieł Pawła z „Rodziny Planetów” (1939) i w „Wyspie starej Tekli” (1956).

Marzenie Tadeusza Kurtyki o wielkim świecie, jest ono tak silne, że skończy się ucieczką do Krakowa, gdzie znajduje pracę w „Grand Hotelu”, a właściwie wielkim kombinacie hotelowo-restauracyjnym dzierżawionym przez starego Niemca Bisanza. Rozpoczął od „stanowiska” chłopca do posług, potem pracował jako pikolak, barman.

W wolnych od pracy chwilach czytał najpierw Sienkiewicza, potem Londona i Conrada. Uczył się, zdał egzamin na kelnera i od roku 1928 mógł zawód ten wykonywać samodzielnie. Wolny czas poświęcał na lekturę. Nie imponowało mu życie towarzyskie w otoczeniu kolegów ani ich podejrzane rozrywki. Wolał chodzić do kina i do teatru. Po kryjomu zaczął pisać, były to tylko niesmiałe próbki literackie, ale wyraźnie zaczęły one początki przyszłego pisarstwa Kurtyki. Przypadek chciał, że w roku 1930 kelnerem czytającym ukradkiem „Sonatę Kreutzerowską” zainteresował się stały bywalec „Grandu” — Michał Choromański. Od tej pory on będzie podsuwał Tadeuszowi lekturę, on będzie pierwszym czytelnikiem i krytykiem nieporadnie jeszcze pisanych utworów. Znajomość Tadeusza Kurtyki z Michałem Choromańskim była dla początkującego pisarza cenna pod każdym względem. W jego towarzystwie uczył się dobrych manier, gustownego ubierania się i sposobu bycia.

Kelner z „Grand Hotelu” zaczął pisać powieść, która wkrótce przyniosła mu sławę. Była to „Zakłete rewiry”. Ukazała się w grudniu 1936 roku, ale jeszcze przed jej wydaniem autor za namową Choromańskiego salwował się ucieczką do Zakopanego. Powieść o kelnerach okazała się sensacją w świecie literackim. Recenzenci podkreślali u Worcella talent realistyczny i obserwatora obdarzonego intuicją artystyczną. Tylko kelnerzy byli oburzeni.

Pisarz usamodzielił się finansowo i zajął się wyłącznie pracą literacką i samokształceniową. Dzięki znajomości z Marią Kasprowiczową, która nad Worcellem rozciągnęła opiekunów skrzydła, zetknął się ze środowiskiem literackim, zyskując dużą sympatię wśród gości przebywających na Harendzie. Miał wtedy dwadzieścia siedem lat.

I września 1939 roku Worcell jako podoficer rezerwy musiał wyjechać z Zakopanego, aby dojechać do 15 pułku artylerii w Krakowie. Harendę opuścił z Marią Kasprowiczową, która udała się do Wilna. Niestety, w Krakowie pułku Worcella już nie było i pisarz udał się razem z tłumem uciekających ludzi na wschód. Po wielu dniach dotarli do Lwowa, gdzie był do wiosny 1940 roku. W Lwowie było już wielu znajomych Worcella, przebywał tutaj Tadeusz Boy-Zeleński, Adolf Rudnicki, Sławomir Karpłowski, Jalu Kurek, z którym Kurtyka założył spółkę — razem rabali drzewo na opał. Gdy tylko nadarzyła się okazja, Worcell przedostał się do Krakowa. Teraz zaczął pracować jako dekarz i robotnik fizyczny, ale za namową swych kolegów powrócił do swojego zawodu — został kelnerem w „Pawilonie” — dużym, często odwiedzanym lokalu, który okazał się miejscem pracy konspiracyjnej. Do niej wciągnięty został również i Worcell. W 1943 roku został złapany w ulicznej łapance i z grupą innych więźniów wywieziony do pracy przymusowej w Niemczech. Pracował w Meissen w fabryce juty. Tutaj poznał swą przyszłą żonę — Antoninę Moszkowską — wywiezioną na roboty do Niemiec aż spod Zytomierza.

Po zakończeniu działań wojennych Henryk Worcell ze swą narzeczoną przez Sudety i Czechy dotarli do Zakopanego i Harendy. Maria Kasprowiczowa udzieliła młodemu i zmęczonemu wojenną tulaczką ludziom serdecznej gościnności. Na by wnikliwie prześledzić życie pisarza i ukazać fakty, które doprowadziły do tego, że znalazł on swą własną „Harendę” na Dolnym Śląsku, i nikt nie zwrócił uwagi na to, że był to pisarz poszukujący ciągle nowego w życiu, a to nowe było podnieta jego twórczości.

Henryka Worcella poznałem w końcu osobiście. W czasie jednej z wizyt u pisarza we Wrocławiu przeprowadziłem z nim długą rozmowę i pamiętam, że jednym z pierwszych pytań, które mu zadałem było:

— Dlaczego chciał pan koniecznie zostać na wsi?

— A co miałem robić? Kupiłem kilka rolniczych książek, trochę mi to pomogło, ale na początku było bardzo ciężko. Harowaliśmy od świtu do nocy.

— Nie wiedziałem nic o sytuacji jaka tu panowała — mówił mi — Tu po prostu siedzieli Niemcy. A my Polacy razem z nimi na kupie. Prawie każdy pedził bimber, ciągle byli zabawy, tańce i tak przy kielichu poznawali się ludzie z różnych stron Polski. Wojna była, przeszła i trzeba było o tym zapomnieć. W Skrzynce było trochę jakiejś roboty porządkowej, jakieś raporty, spisy, akcje. Nie było za to żadnych fachowców, a gospodarke uprawialiśmy po partyzancko.

— No a Niemcy? — spytałem podczas rozmowy z pisarzem.

— Niemcy byli wtedy spokojni. Oni kiedy się boją zawsze są spokojni, pokorni — ale tylko trochę im popuścić — natychmiast staną się butni.

W „Dzienniku” pisarz zanotował:

„Muszę polować na dorywcze zarobki, zbierałem jagody czarnego bzu dla fabryki przetworów owocowych, dzika różę, jarzębinę, kosilem u sąsiadów, pomagałem przy młócie, a teraz przy kłopotach ziemniaków”.

W dwa lata później:

„Nadszedł wreszcie czas (...) kiedy dzieci tęskniły za kawałkiem chleba i ciągle na mnie patrzyły, a ja nie wiedziałem, do kogo pójść, by coś dla nich zdobyć”.

— Wreszcie — ciągnął pisarz swą opowieść — żona zorganizowała taki sobie zespół świetlicowy w Jasienicy Dolnej, ja prowadziłem punkt biblioteczny. Człowieku, książki miałem w walizce i wozniłem je po domach. Ale wtedy pisałem, najczęściej reportaże z życia wsi, spółdzielni produkcyjnej, byłem, o! takim terenowym korespondentem.

— Czy drukowano pana?

— A gdzie tam... Byłem za prawdziwy, a z

Harendzie odbył się wtedy ślub Worcella i bar-

dzo skromne wesele.

Jeszcze w lipcu 1945 roku, zachęteni ulotkami nawołującymi do wyjazdu na Ziemię Odzyskaną, Worcellowie z grupą górali wybrali się do Kłodzka w poszukiwaniu miejsca na urządzenie samodzielnego życia. Długa tulaczka i zbyt meczące życie w mieście skłoniły późniejszego autora „Parafian” do osiedlenia się na wsi i pracy na roli. Wiesz, w której mieszkali przybylsze z Harendy nazywała się Skrzynka, opisał ją Worcell w swoim reportażu „Ludzie ze Skrzynki”.

W okresie powojennym przez wiele lat krytyka literacka zupełnie niesłusznie zaliczała Worcella a to do twórców ludowych, a to znów do autorów regionalnych, jako że tylko o Dolnym Śląsku, o Sudetach, o Dolinie Kłodzkiej, o Wrocławiu pisał. Takie zaszukiwanie Worcella było dla niego bardzo krzywdzące i prawie nikt z krytyków i recenzentów nie zadał sobie trudu

tęgo co ukazało się w prasie nie byłem zadowolony. Musiałem się jednak z tym pogodzić, bo trzeba było dorobić.

Worcell nie miał w tamtym okresie stałego zajęcia, które mogło pozwolić mu na utrzymanie rodziny. Najmował się więc do pracy w polu u miejscowych gospodarzy, do przeladowywania wagonów na rampie kolejowej, pracował trzy miesiące jako bufetowy w gospodzie, a wreszcie razem z żoną postanowił wyjechać do Kamiennej Góry.

— Zaczeliśmy pracować w Powiatowym Domu Kultury. Wie pan jak to jest, początkowo obiecywali dać za dwa, trzy miesiące mieszkanie, ale otrzymał je ktoś inny, a myśmy nie mogli siedzieć w małym pokoiku i to bez żadnych wygód. Woda ściekała po ścianach, taka była wilgoć, a tu dzieci małe. Postanowiliśmy wyjechać do Trzebiezowic.

Henryk Worcell znów zaczął pracować jako bufetowy w gospodzie, był już autorem wielu reportaży drukowanych w dolnośląskiej prasie. Jednak praca, którą podjął po raz drugi weale w tamtym czasie nie była łatwa — bardzo często zdarzały się bójkі, awantury. Do gospody przychodzili również ludzie ze Skrzynki, a wśród nich ci, którym pisarz tak bardzo dopiekił swoimi artykułami i reportażami. 8 lutego 1957 roku leśniczy Józef M., rozpoznawszy się w jednym z niechlubnych bohaterów worcellowskiego opowiadania „Rewolucja w Guranowie”, wobec wielu ludzi przebywających w trzebiezowskiej gospodzie uderzył Henryka Worcella w głowę tak nieszczęśliwie, że bardzo poważnie uszkodził mu oko. Pisarza zabrano do kliniki we Wrocławiu.

Sytuacja Worcella, oprócz prokuratury, zainteresował się Związek Literatów Polskich. Wokół sprawy zrobił się szum.

— Czy ma pan pretensje do tych ludzi? — zapytał Worcella.

— Nie mam im tego za złe. Wie pan, od dwudziestu kilku lat mieszkamy we Wrocławiu i bardzo jesteśmy z tego zadowoleni. Tam chwytalem się wielu prac. Kiedy w domu nie było pieniędzy brałem każdą robotę, aby zarobić, wszystko inne było nieważne, nie liczyło się. Właśnie była tylko ta praca, dzięki której zapomniałem o tym, że mi dokuczano. I tak pisałem o tym co widziałem, można odczytać to w moich opowiadaniach, które później złożyły się na „Parafian”.

— Czy bardzo pan tęsknił za wsią?

— Za wsią tak, ale nie za ludźmi. Nie byłoby to anioli, przez nich straciłem oko, a jednym okiem teraz inaczej wszystko widzę.

Po koniecu 1957 roku otrzymał mieszkanie we Wrocławiu i nagrodę literacką miasta Wrocławia.

Okres wrocławski okazał się rzeczywiście bardzo szczęśliwy. Powstają zbiory opowiadań „Widzę stad Sudety” (1959), „Parafianie” (1960), „Najtrudniejszy język świata” (1965), „Wieczory pod lipą” (1966). Za „Najtrudniejszy język świata” Henryk Worcell otrzymał nagrodę miesięcznika „Odra” oraz nagrodę Ministerstwa Kultury i Sztuki z roku 1967. W roku 1973 ukazuje się powieść „Pan z prowincji”, a w następnym „Wpisani w Giewont”, ta książka zawiera cykl wspomnień o sprawach i ludziach z okresu zakopiańskiego obejmującego lata 1937—1939. W 1979 roku ukazuje się niewielka książeczka pt. „Inne rewiry” zawierająca kilkanaście artykułów drukowanych w „Literaturze”, „Kontrastach” i „Odrze” na tematy lektur pisarza. W tym samym roku „Ossolineum” wydaję jego 3-tomowe „Dzieła wybrane” ukoronowało 40-letni dorobek literacki Worcella. Dwa lata temu byłem ostatni raz u Henryka Worcella, był już wtedy poważnie chory.

Na dworze zapadał już zmrok, a nasza rozmowa ciągle trwała. Wysłuchałem opowieści o kilku jego przygodach na wieczorach autorskich, o pracy w Związku Literatów Polskich i wtedy również powrócił temat Harendy i Zakopanego. Wspominał jeszcze Marię Kasprowiczową, mówił, że wiele jej zawdzięcza, chociaż często drażniło go takie, jak się wyraził, „matkowanie”.

— No cóż, ona taka była.

Zrobiło mi się już późno. Worcellowie wiedzieli, że muszą tego dnia odejść, ale on wyczuł, że chciałem czegoś więcej, że rozmowa nasza nie została zakończona.

— Ja teraz — powiedział zapominając o chorobie — będę miał trochę pracy. Mam kilka spraw osobistych do załatwienia, kilka wyjazdów, ale gdy powrócę, to proszę do nas przyjechać na dłuższą. Obiecuję panu czas.

Nie zobaczę go już nigdy, zostały wspomnienia z rozmów i jego książki.

Barbara Nadgórska

Na motywach Baldwina i codzienności

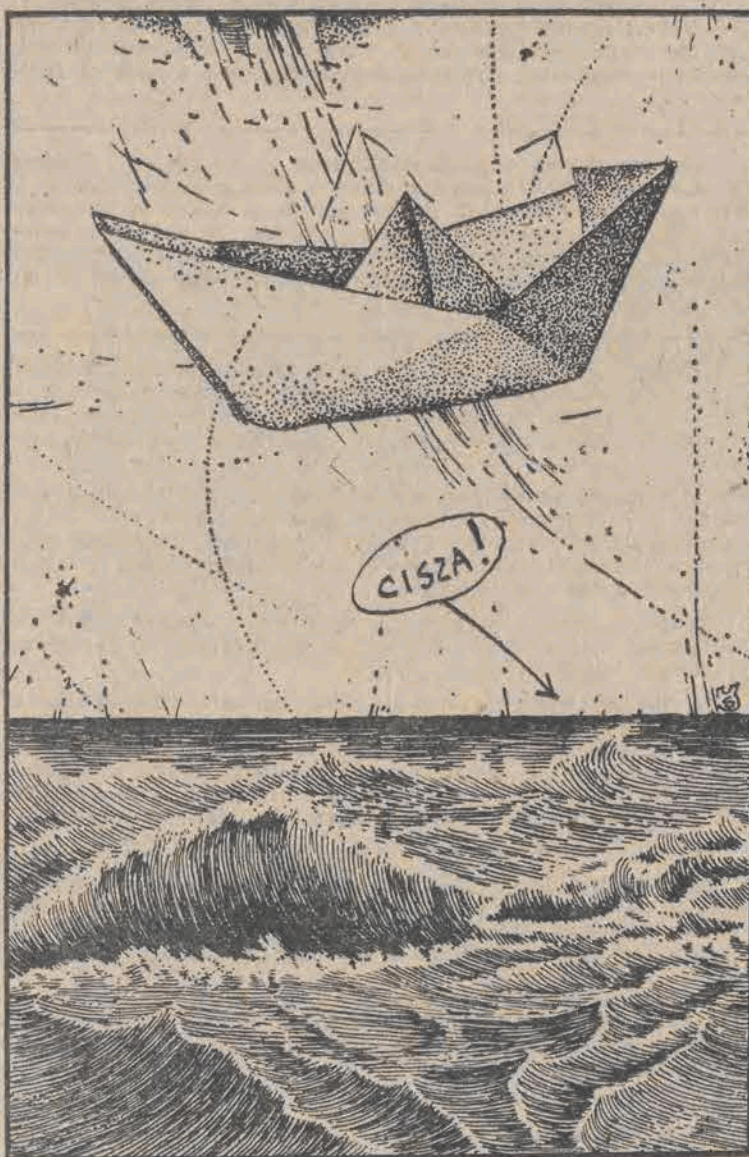
Kiedy słucham bardzo starej pieśni miłosnej z Hercegowiny

w czwartym programie polskiego radia myślę o rudowłosym Eryku początkującym aktorze amerykańskim i jego ukochanym francuskim chłopcu. Myślę o ich czułości i delikatności o splecionych spojrzeniach na kilka dni przed rozstaniem i o tej tęsknocie, której nie pokonała woda oceanu ani nocne wizyty pewnej atrakcyjnej mężatki. Pamiętam też o zagubionym wśród dziewcząt Vivaldo któremu ulgę przyniosły wargi przyjaciela. Myślę także o naszym utrudzeniu kochany o brutalności wspólnego życia tak wielu mężczyzn i kobiet

czerwiec 1982, Łódź

U nabrzeża

Wielkiego tego domu wysokie pokoje podwójne wąskie okna ze starego drzewa dostępne słońcu w porze późnego zachodu



Rys. Janusz Szymański-Glane

głęboko osadzone w murach i nieskończenie długie ciemne korytarze których końca trzeba się obawiać. Niekiedy nocą przebiegają po nich wypłoszone z nieba łosie i jelenie jak zwykle smutne i jak zwykle nieme. W taką noc ze wszystkich poroży i z głowy dzika krew ścieka i pachnie krwią a potem nagle winem. Na nieskończenie długich ciemnych korytarzach których końca trzeba się obawiać kilku miłości zdeptane ślady. Wielkiego tego domu wysokie pokoje stoją u nabrzeża moich myśli gdziekolwiek żyje.

Miłość nasza do noża

Za mało mówimy o naszej bezwzględności z jaką codziennie potrafimy zabijać samych siebie a także innych przygodnie napotkanych żyjących obok od lat. W tym celu ostrzemy starannie noże milczenia noże spojrzeń noże uśmiechów noże gestów. A także zwykle niezawodne kuchenne noże

1982, luty

**Mistrzowski
„chwyt”,
a może błąd
w sztuce?**



Jan Kwapisz

1932-1982

**Pod wspólnym
szyldem czyli
w czym wyręczam
Jerzego P.?**

35 lat Łódzkiego Wydawnictwa Prasowego

Najcieżej pisać o jubileuszach. Tekst powinien być dostojny i uroczysty. A tu złość człowieka ogarnia, że czas tak szybko, tak nieubłaganie biegnie do przodu i równocześnie z jubilatami, piszącemu lat przybywa także, a wprost przeciwnie sprawa ma się z włosami. 35 lat. I jak to o owe minione pytać panie, które równocześnie z powstaniem Łódzkiego Wydawnictwa Prasowego RSW „Prasa” — Książka — Ruch” rozpoczęły pracę w gmachu przy ul. Piotrkowskiej 96? Ani chybi obraża się, bo obie wyglądają właśnie na 35-latkę.

A tu jeszcze szkopolu następny, bo wydawnictwo to rodzaj niaki, więc jak się zwracać? Droga Jubilatko? Drogi Jubilacie? Sam profesor Doroszewski tego dylematu by nie rozsuplał. Zapytać się mgr Piotra Sagana — dyrektora Łódzkiego Wydawnictwa Prasowego? Ponoć nie lubi udzielać wywiadów.

25.04.1947 roku Komitet Centralny PPR podjął uchwałę o powołaniu do życia instytucji wydawniczej mającej skupić w jedną organizacyjną całość rozproszone wydawnictwa prasowe i drukarnie poszczególnych komitetów partyjnych.

10 maja 1947 odbyło się pierwsze posiedzenie Rady Nadzorczej RSW „Prasa”. W chwili powstania RSW „Prasa” liczyła 43 członków założycieli. Obok osób fizycznych — członkiem spółdzielni była Polska Partia Robotnicza.

Rozwój działalności RSW „Prasa” następował bardzo szybko. W roku 1948 nastąpiło połączenie RSW „Prasa” ze Spółdzielnią „Wiedza”. W dwa lata później do RSW „Prasa” została włączona część prasowa Instytutu „Czytelnik”.

Łódzkie Wydawnictwo Prasowe jest jednym z największych wydawnictw w kraju, w ramach powstałej przed 35 laty Robotniczej Spółdzielni Wydawniczej „Prasa”.

Pierwsze numery gazet wydawanych aktualnie przez ŁWP ukazały się: — „Dziennik Łódzki” 1 lutego 1945 r., „Głos Robotniczy” 20 czerwca 1945 r., „Express Ilustrowany” 17 stycznia 1946 r.

Zapytajmy więc panią ZOSIĘ IGNACZAK, która w latach ogólnego dostatku, zwanych również okresem propagandy sukcesu, usiłowała w bufecie konkurować z „Delikatesami”, sprzedając pracownikom Wydawnictwa i łódzkim dziennikarzom prasowym kaszankę zamiast kawioru. Na kawior bowiem łódzkie środowisko prasowe nigdy sobie jakoś pozwolić nie mogło. Wydawnictwo bowiem zawsze przyzwyczajało nas do ascezy.

— Pani Zosiu, jak pani ocenia minione 35-lecie, tu w prasie, tu na ul. Piotrkowskiej?

— Budynek pozostał ten sam, chociaż z podłuchanych rozmów w bufecie, najpierw mówiło się o nowym gmachu, później o jakimś gmachu na Zamenhoffa i tak przez 30 lat tylko się mówi. Co do pierwszego stwierdzenia, to nie jest prawdą, że w roku 1964 w bufecie sprzedawano jedynie kaszankę. Był również salceson taki sam jak sprzedają go dzisiaj na porcje. Pod tym względem czas stanął w miejscu.

— Ale przecież trochę się zmieniło?

— Trochę. Dziś w kawiarni SD PRL sprzedają również przydzieloną pastę do mycia zębów. W bufecie klubowym można również od czasu do czasu dostać coś ostrego — np. zyletki „Polsilver”.

— A dyrektorzy? Zmienili się?

— Tak, pięciu się zmieniło, w tym jeden dwa razy.

— Więc jednak są zmiany na lepsze?

— Są. Z braku napojów alkoholowych klub zmienił się w klub abstynenta, ale poważnie mówiąc zmiany są i to olbrzymie. Pamięta pan klub przed 30 laty? Podobny był wypiszwymaluj do obskurnej hali Dworca Kaliskiego. Dziś niczym się nie różni od wykwiłtnej kawiarni. U nas także od czasu do czasu brak kawy... Przez ostatnie dwa lata mieliśmy w klubie nawet występy — bardzo mocny show...

— Poznata pani przez okres tych wielu lat również wielu ciekawych ludzi...

— Tak, to prawda, ale najciekawszy był ten, który usiłował w 1980 roku wczolgać się pod bufet by sprawdzić, czy czegoś tam nie ukrytam przed swymi klientami.

— A w ogóle, te minione lata?

— No cóż, przeżyłam jeżeli dobrze liczę — 113 małżeństw, 174 rozwody, do czego i Pan

— Panie Julianie, a co się zmieniło za pańskiej kadencji?

— Wszystko. Od początku do końca — prócz budynku przy ul. Piotrkowskiej. Nie było ośrodka czasowego — jest piękny w Sulejowie. Nie było klubu — jest i to nie najgorszy. Nie było akcji socjalnej — jest kierownik Gieldowski i czasami są wczasy. I człowiek już nie jeździ na okragło, jak to niegdyś bywało, świątek-piątek. Ale przede wszystkim zmienił się krajobraz za szybą samochodu. Byłem świadkiem narodzin wszystkich większych inwestycji w starych powiatach, na które trafiały nasze gazety. Patrzyłem jak rodzą się i rosą nowe województwa — piotrkowskie, sieradzkie, skierniewickie. Bo wiadomo — aglomerację łódzką jako kierowca znam jak własną, pustą przed pierwszym, kiesz.

Jak ten czas szybko biegnie

PIOTR GOSZCZYŃSKI

walnie się przyczynił, urodziło się 203 dzieci, tu udziału Pana, panie redaktorze, nie znam, udzieliłam tysiące pożyczek, w tym paru bezzwrotnych. Pani Alina Grabowska z Wolnej Europy do dziś dnia winna jest klubowi za kilka kaw, koniaków i kanapek. Tyle lat, tylu ludzi przewinęło się najpierw przez bufet, a teraz przez nasz klub.

A oto następny jubilat — „Ryba” — JULIAN RYBINSKI. Ryba to skrót od nazwiska, ale jest również w tym pseudonimie coś z charakteru pana Juliana, który legitymuje się największym stażem spośród kierowników Łódzkiego Wydawnictwa Prasowego.

— Jak to było na początku pana pracy, panie Julianie?

— Dwie były tylko gazety — „Głos Robotniczy” i „Dziennik Łódzki” i dwa były tylko samochody. Na jednym ja w początkowym okresie swojej pracy jeździłem tylko nocami — był to samochód dyżurny w redakcji nocnej. Dziennikarze robili mi konkurencję rowerami. Powiatów było co niemiara. Roboty jeszcze więcej, a części zamiennych do samochodu tyle samo co i dziś, czyli prawie wcale. Co się zmieniło przez te lata? Obecnie dziennikarze jeżdżą inaczej ubrani. Przed kilkunastoma laty była taka moda, by chodzić bez krawata. Wszyscy upodabniali się do klasy robotniczej. Odkąd robotnicy zaczęli chodzić w krawatach, założyli je również i moi pasażerowie. Był na czełny, który na co dzień nosił beret, na wyjazdy do sąsiednich krajów zakładał czapkę, powiedzmy „maciejówkę”. Był to człowiek odważny. Przy szybkości 60 km kazał zatrzymać samochód. Wolał iść pieszo.

— Czy zaszedł daleko?

— Do Warszawy.

Co jeszcze pamiętam — ano wszystkich emerytów, a także tych co odeszli od nas na zawsze. Ludzie szybko umierają i późno odchodzą na emeryturę. Niektórzy dopiero po pierwszym zawale...

— A szefowie?

— Szefowie jak szefowie. Szef jest szef. Szef mówi — ja jadę. Z szefem się nie dyskutuje, z szefem się jeździ. Z jednym zacząłem dyskutować i od razu pech — złapałem mandat i przez dwa miesiące nie oglądałem premii. Wóz musi być sprawny i czysty, a kierowca punktualny. Wtedy najgroźniejszy szef nie ma nic do powiedzenia. A wiadomo mowa jest srebrem, zaś milczenie złotem.

I tu z powiedzenia pana Juliana znów „wylazła” „Ryba”, bo wiadomo, że ryby mowne nie są.

Sredni nakład „Głosu Robotniczego” za ostatnie półrocze kształtował się w ilości 296 tysięcy egzemplarzy dziennie. „Dziennik Łódzki” — 94 tysiące, „Express Ilustrowany” 94 tysiące, „Odgłosy” 18 tysięcy.

Rekordzista jest nasza łódzka „Karuzela”, której średni nakład w ostatnim półroczu wyniósł 486 tysięcy. „Tygodnik Piotrkowski” i tygodnik „Nad Wartą” ukazujący się w Sieradzu mają średni nakład po 10 tys. egz. „Wiadomości Skierniewickie” 9 tysięcy egzemplarzy i „Życie Pabianic” 7 tys. egz.

Pani STEFANIA SEBASTIANI pod tym nazwiskiem nie jest znana. O niej wszyscy mówią — nasza Stenia. I już wiadomo, że mowa o jednym z najstarszych, naturalnie stażem, pracowników „Łódzkiego Wydawnictwa Prasowego”. Pani Stenia jest sekretarką dyrektora. Stenia wie wszystko. Stenia jest żywą kroniką lat minionych i skarbem wszelkiego wtajemniczenia. Przez jej dłonie przechodzi bowiem pocztą. Ale Stenia jest dyskretna. Tak więc ze Stenią ciężko będzie przeprowadzić wywiad.

— Steniu, co zmieniło się na 4 piętrze przez tych 35 lat?

— 5 dyrektorów, no i tapety w gabinecie

dyrektora, założone przez jego poprzednika. Poza tym chyba zmienił się stosunek do pracowników. Kiedyś pracownik nie śmiał wejść do dyrektora bez pukania. Dziś śmie. Za jednego z poprzednich dyrektorów ludzie byli bardzo pobożni. Przed wejściem do gabinetu żegnali się. Zmieniło się. Dziś panują laickie zwyczaje.

— A z którym z dyrektorów pracowało ci się najlepiej?

— Ze wszystkimi pracowało mi się dobrze. Obecny, choć wymagający, nie jest uciążliwy, pije na przykład mało herbaty, natomiast gdy przyjmuje gości, w zasadzie też przyjmuje ich tylko herbatą. Stąd i sekretariat nie jest obciążony działalnością gastronomiczną. Jednocześnie dyrektor lubi punktualność, dochowuje terminów. Te cechy ułatwiają pracę sekretarce.

— Jest chyba jednak coś, czego w swojej pracy nie lubisz?

— Nie lubię, gdy trzeba się żegnać z tymi, którzy odchodzą na emeryturę, a przepracowali z nami długie lata. Dla nich zaczyna się zastużony odpoczynek, a mnie jest trochę żal, bo to jakby odchodziło wraz z nimi część tego, do czego człowiek przywykł.

— A co, wciąż myśląc o pracy, lubisz najbardziej?

— Gdy są puste fotele dla oczekujących na wizyty u dyrektora, a przede wszystkim samą pracę w Wydawnictwie, którą podjęłam niemal przed 35 laty — rocznica minie w dniu 13 kwietnia przyszłego roku. Ciagle w tym samym gmachu, tu na Piotrkowskiej 96. Na czwartym piętrze. Olbrzymi smatł życia. Pracuję o 6 lat dłużej niż liczy mój syn.

Steni nawet nie pytamy o emeryturę, jako że jest to dziewczyna młoda i mamy egoistyczną nadzieję współpracować z nią jeszcze przez wiele, wiele lat. Bo dobrze nam zawsze było ze sobą.

Aktualnie ŁWP wydaje 9 tytułów prasowych. W skali jednego roku zużywamy średnio 625 wagonów 10-tonowych papieru.

Gazety i czasopisma wychodzące w Łódzkiej Wydawnictwie Prasowym rozprowadzane są w 90 proc. w systemie komisyjnym.

Przed 25 laty ukazał się pierwszy numer czasopisma satyrycznego „Karuzela”.

Dziennikarze łódzcy są przywiązani do swych gazet. Mamy najniższy wskaźnik zmian miejsca pracy.

I tak oto pogadałaliśmy sobie z jubilatami o owych 35 latach, z których wiele było chudych, ale i tych tłustych nie brakowało także. Wyrosło Łódzkie Wydawnictwo Prasowe nad podziw. Potłuściano o nowe tytuły, o nowe redakcje, o nowe kolektywy redakcyjne, o agendy w województwach ościennych, o licznych przyjaciół. A co z nieprzyjaciółmi? Któż ich nie ma? Cytują nas wiadome zachodnie rozgłosy. To i dobrze, bo widocznie gazety łódzkie dobrze służą socjalizmowi.

Przez tych 35 lat ŁWP dobrze się chyba i Łodzi i społeczeństwu zastrzyżyło — opiekując się prasą, wydając ją, utrzymując żywe kontakty z naszymi czytelnikami, a i władzami również. Tak więc i ŁWP dołożyło swą skromną cegiełkę do budowy PRL, do umocnienia socjalizmu.

Przed zespołem ŁWP droga jeszcze i daleka i nielata. Na tę więc drogę my, łódzcy dziennikarze prasowi życzymy naszym przyjaciołom z Wydawnictwa dużo zapału, jeszcze więcej energii, moc zdrowia no i sukcesów. Są to życzenia egoistyczne, bo Łódzkie Wydawnictwo Prasowe to również i my. A wiadomo, człowiek sam sobie zawsze życzy najlepiej. Niech się więc nam wszystkim darzy.



Zofia Ignaczak



Julian Rybiński



Stefania Sebastiani

Foto: Mirosław Zajdler

Na pierwszy urlop pojechałem do Cieplic. Mieliliśmy tam własną rezydencję: dziennikarski dom wypoczynkowy. Dzierżawionym na ten cel budynkiem zarządzał Tadeusz Hanusz, brat piosenkarza Karola. Przez jakiś czas pan Tadeusz uprawiał dziennikarstwo. Napisał nawet i wydał po wojnie fachowy podręcznik dla p.p. redaktorów — jak mają adiuśtować materiały, kierować gazetą i wypełniać inne funkcje zawodowe. Dziełko nie wzbudziło jakoś entuzjazmu w Anatóli Mikulce, redaktorze naczelnym „Dziennika Łódzkiego”. W felietonie pt. „Hanusz, moja Hanusz” zarzucił on autorowi brak kompetencji i zamiar niedo-rzeczności. Zaraz potem pan Tadeusz przekwalifikował się na administratora, jednakże i w tej dziedzinie sukcesów nie odniósł.

Razem ze mną wczas w Cieplicach spędzał Czesław Gumkowski. Gdy ja w 1931 r. startowałem do długodystansowego biegu z przeszkodami po łączce dziennikarskiej, pan Czesław cieszył się już w pełni zasłużoną sławą znakomitego publicysty, redaktora oraz autora wierszy i piosenek. Na powitanie zanuciłem refren jego szlagiera z lat dwudziestych:

*Na czerniakowskiej, Górnej, na Woli,
W ciemnych spelunkach, gdzie życie wre,
Hej! Tam w kompanii, często do woli,
Noc całą Mańka bawiła się...*

— Wypomina mi pan młodzieńcze, stare grzechy. Ale canta pan nie pamięta?

Dziś odpowiedziałbym, że canta nie, natomiast kanty doskonale. Wtedy ten kalamburek jakoś nie przyszedł mi do głowy, a pan Czesław na moją prośbę przypominał początek swojej piosenki:

*Zwano ją Czarną Mańką wśród ulicy,
Znali ją dobrze wszyscy wszędy i w krąg,
Necil czar jakiś, spogląd jej żrenicy,
Choć przechodziła ot, tak — z ręk do ręk.*

*Miłość obłądną i zawrotną siłą,
Była uliczną taką — bo i cóż?
Durzy się w Mańce pół Woli bez mała,
Nie jeden o nią zakręcił się nóż...*

O czym można rozmawiać na urlopie, z dala od stukającej „Olympii”, po tylu latach nie widzenia się? Oczywiście o dawnych kolegach, redakcjach, pikantnych historyjkach.

Niewiele miałem do opowiadania, za to pan Czesław uraczył mnie barwnymi wspomnieniami. Ciekawe rzeczy działy się w redagowanym przez niego do wojny „Kurierze Łódzkim”. Choćby owe homeryckie boje, jakie toczyli ze sobą dwaj współdziałowcy gazety: adw. Jan Stypulkowski i właściciel apteki Wiktor Groszkowski, późniejszy wiceprezydent Łodzi z ramienia Chudej. Przedsiębiorczy pan mecenas najpierw spalił trzeciego wspólnika Pfeiffera, a gdy „Kurier” i popołudniowe „Echo” przynosiły coraz większe dochody — zagiął parol i na aptekarza. Tak długo włóczył go po sądach, aż wreszcie znekany wspólnik poddał się: za 80 tysięcy złotych odstąpił (początkowo żądał 200 tysięcy) zrezygnował ze swego udziału w przedsiębiorstwie i wrócił do kręcenia pigulek. Gazetę opuszczał z tym większym żalem, że poza dochodami pobierał jeszcze co tydzień dwa tysiące złotych. Taką bowiem gażę ustalili sobie obaj panowie za wykonywane funkcje.

Czesław Gumkowski objął stanowisko redaktora naczelnego „Kuriera” w 1920 r. po znanym, cenionym publicyście Lucjanie Dąbrowskim, założycielu i pierwszym prezesie Syndykatu Dziennikarzy Łódzkich. Po nim też, do wojny, pełnił tę funkcję społeczną. Zaś o tym jak adw. Stypulkowski, wykorzystując bezrobocie wśród łódzkich drukarzy, obniżał zarobki i pozbawiał pracy czerow, którzy dla zdobycia środków do życia założyli własną gazetę — wspominał w poprzędnym tomiku „Reportera”.

Po wojnie redaktor Gumkowski, mimo wieloletniego doświadczenia, talentu organizacyjnego i dorobku pisarskiego, nie mógł znaleźć zajęcia. Wreszcie przyjął go do redakcji „Głosu Robotniczego” na stanowisko „stylredaktora”. Nie narzekał na tę niewatpliwą degradację. Nawet wówczas, gdy trawiła go ciężka, nieuleczalna choroba, zachował pogodę ducha.

„Głos” nie zdobył sobie poczytności w pierwszym okresie swego istnienia. Zła passa trwała czternaście lat. Sześciu redaktorom naczelnym nie udało się zwiększyć nakładu. Sztuki tej dokonał dopiero siódmy z kolei...

W wolnej sprzedaży, w kioskach, rozchodziło się zaledwie kilka tysięcy egzemplarzy. Drugie tyle rozprowadzano w zakładach pracy. Aktywiści krążyli po halach fabrycznych namawiając do zaabonowania organu partyjnego.

— Mój mąż już prenumeruje „Głos” u „Strzelczyka” — broń się jakaś prądka.

— To nie ma znaczenia — nalegał aktywista. — Chyba nie uważacie, towarzyszek, że dwie partyjne gazety w rodzinie to za dużo!

„Głos” zaczął wychodzić w czerwcu 1945 r. Pierwszy szef, Edward Uzdanski, zabiegał jak mógł o pozyskanie nowych źródeł czytelników. Dziełnie mu sekundował sekretarz redakcji Konstanty Bogusławski, późniejszy założyciel „Expressu”. Jednakże metody „drogą perswazji” skazane były z góry na niepowodzenie. Co tu ukrywać — gazeta nie spełniała podstawowych warunków: werbalne artykuły, obiegowe hasła, kiepska szata graficzna — nie zachęcały do czytania. Nie zostawiano najmniejszego marginesu na własne wnioski, po macoszemu traktowano wiele dziedzin życia, a o krytykowaniu kogoś powyżej kelnera, wóznego czy sprzątaczkę — mowy nie było.

Redakcja nie dysponowała kadrą fachowców. Owszem, miała zdolnego i to bardzo, dziennikarza, ale jeden człowiek nie potrafi wypełnić olbrzymiej luki, choćby to był nawet sam Henryk Rudnicki.

O Rudnickim można nieskończenie. Pracę dziennikarską podjął dość późno, mając prawie czterdzieści lat. Przed wojną robił korektę w „Kurierze Łódzkim”, tłumaczył jakieś teksty z języków obcych, może nawet od czasu do czasu napisał coś własnego. Lwi pazurek pokazał dopiero po Wyzwoleniu. Przez dłuższy czas wykonywał w „Głosie” jednocześnie funkcje: sekretarza redakcji, depešowca, kierownika działu miejskiego oraz szefa kilkunastu wydań mutacyjnych, znajdując jeszcze czas na pisanie. Kiedy on właściwie spłynał? — zadawali sobie pytanie wszyscy dookoła. Tylko Henryk nie zastanawiał się nad tym i wypełniał obowiązki czterech pracowników za jedną pensję.

Imponował nam encyklopedyczną wiedzą o Łodzi. Współczesnej i tej starej. Zazdrościliśmy mu pięknej biblioteki i... pochodzenia. Proletariusz z krwi i kości, członek KPP. W latach czterdziestych i później, gdy kadrowcy skrzętnie zaglądali do metryk, gdy zmuszano ludzi do pisania tasemcowych życiorysów, a o przyjęciu do pracy, awansu, nie zawsze decydowały umiejętności — takie pochodzenie społeczne stanowiło poważny atut.

Henio ani razu nie zmienił macierzystej redakcji. Pozostał jej wierny od pierwszego numeru „Głosu” do samego końca. Nawet po przejściu na emeryturę wzbogacał gazetę cennymi tekstami. Największą sławę zdobyły mu cotygodniowe felietony „Ze srody na piątek”. Podpisywał je przekornie „Hendryk”, jak w łódzkiej gwarze wymawiano to imię. Odnaczały się nie tylko ciekawą treścią, ale i nieskazitelną formą. We wspomnieniach pośmiertnych o Heniu jego koledzy napisali w „Prasie Polskiej” i „Głosie Robotniczym”, że spłodził około 2 tysięcy tych cotygodniowych felietonów. Nie chce odbierać znakomitego dziennikarza, jednak to gruba przesada. Jeden felieton, tygodniowo, to przeciętnie 50 wierszy, a zatem żeby osiągnąć owe dwa tysiące, musiałby „Hendryk” zacząć pisać w... 1940 roku! Według moich wyliczeń, bilans twórczości Henia zamyka się i tak imponującą liczbą 1200—1300 pozycji. Nikt w powojennej prasie polskiej nie dokonał takiego wyczynu. Jarosław Iwaszkiewicz w ciągu 25 lat napisał dla „Życia Warszawy” tylko o tysiąc tygodniowych felietonów pt. „Rozmowy o książkach”. Sięgając jeszcze wyżej, płodność pisarską Henia ilościowo można by porównać z twór-

Cud w partyjnym „Głosie”

ADAM OCHOCKI

czością Bolesława Prusa. Autor „Lalki” dzierży nie pobity rekord w pisaniu stałych felietonów gazetowych, jednakże Prus twórczość tę uprawiał właśnie cztery dziesiątki lat.

Przez dwadzieścia kilka lat „Hendryk” wychowywał kadrę dziennikarzy. Nie bawił się z adeptami w ceregiele. Był wymagający, ostry, chwilami nawet brutalny.

— Pojedziesz pan do Pabianic i przywieziesz stamtąd coś ciekawego — odprawił w drogę przydzielonego mu praktykanta.

— Ale co mam przywieźć? O czym napisać?

— To już pańska głowa. Gdybym wiedział o czym, sam bym napisał.

Adept wrócił po dwóch dniach i podsunął Rudnickiemu reportaż z miejskiej łaźni, którą zwiedził i przy okazji dokonał ablucji grzesznego ciała.

— Po to siedział pan tam dwa dni? Ma pan w domu łaźni-

zienie?

— Tak.

— W domu trzeba się było wykąpać! Taniej i wygodniej. Następny! Pojedź pan do Kuluszek...

W Kuluszkach młodego człowieka zafrapował nowo wybudowany szalet na dworcu kolejowym. Będąc widocznym pod wrażeniem francuskiej komedii „Skandal w Clochemerle”, poświęcił temu obiektowi epistolę na dwie kartki maszynopisu.

— Ja tu z nimi oszaleję! — załamał ręce Henryk. — Jeden jedzie dwadzieścia kilometrów, żeby się wyparzyć w łaźni, dru-



Henryk Rudnicki

Rys. Stanisław Ibis-Gratkowski

gi czterdzieści wysusiać się na dworcu! A wywiadu z kłózet-babką pan nie zrobił? Szkoda, powiedziała by panu, kto u niej srywał przed wojną!

Ponad pięćdziesięciu kandydatów przeszło przez ręce Henia, w zawodzie pozostało kilku. W surowej krytyce nie oszczędzał nawet swego syna, który poszedł w jego ślady. Młody Rudnicki, zrobił reportaż dla „Odgłosów” ze stadniny koni w Łącku.

— Czy pan wie, co ten mój Leszek nawypisywał? — zagadnął Henio w bramie budynku redakcyjnego. — Że dżokej usiadł na siodle, rozumiesz — na siodle! Pchła może słać na siodle, człowiek zawsze w siodle!

(...) „Głos” miał 12 wydań mutacyjnych. Ostatnią stronę gazety poświęcano na wiadomości z poszczególnych terenów. Kalisz, Kutno, Pabianice, Radomsko, Tomaszów Mazowiecki, Włocławek... Materiału na te kolumny dostarczali praktykant z prowincji, przeważnie studenci pobierający w Łodzi nauki. Jeden przynosił wiadomość, że społeczno-obywatelski komitet w powiecie łowickim postanowił zbudować na swym terenie szkołę ludową i na ten cel zebrano już odpowiednią kwotę. Wiadomość z dokładnym opisem przyszłej szkoły poleciała do numeru. Natychmiast rozdzwoniły się telefony w redakcji.

— Coście zrobili najlepszego? — irytował się ktoś z komitetu partyjnego. — Przecież to plany sprzed dwóch lat! Ta koncepcja dawno upadła, szkołę ma dostać inna gmina!

Winowajcę posłano na miejsce, żeby przeprosił kogo należy za mylną informację. Jakis działacz chwycił go w ramiona i nie dopuszczając do głosu zawołał:

— Mówiono nam tu w gminie, że szkoły nie będzie, ale partyjna gazeta na pewno wie lepiej. Dziękujemy wam, towarzyszu! I właśnie ta gmina otrzymała szkołę! Nie zdecydowano się zaprzeczyć organowi partyjnemu. Oto co może zdziwiać magła słowa drukowanego i... firma.

A skoro już mowa o praktykantach, warto wspomnieć o błyskotliwej karierze jednego z nich — Wiesława Beka. Zadebiutował skromnie jako reporter „Głosu” jakąś notatką z Aleksandrowa. Po szezeblach drabiny wspiął się szybko: redaktor mutacji radomskiej, nocny redaktor depešowy, sekretarz redakcji, zastępca naczelnego, sekretarz propagandy KW PZPR w Łodzi, wysoki funkcjonariusz KC na różnych stanowiskach, wiceprezes RSW „Prasa”, wiceminister kultury, wreszcie fotei naczelnego „Trybuny Ludu”.

Wybili się też dwaj pracownicy działu rolnego: Zbigniew Nienacki (Nowicki) oraz Bohdan Drozdowski. Pisali doskonale reportaże, potem zmienili profesję: Nienacki poświęcił się twórczości literackiej dla młodzieży, wydał mnóstwo rozchwytywanych książek, Drozdowski zbiera laury na niwie poetycko-dramaturgicznej.

(...) Zapowiedziany przeze mnie w tytule cud nastąpił w 1959 r. W czerwcu, w samą oktawę Bożego Ciała, do „Głosu Robotniczego” ruszyła procesja ze Stanisławem Mojkwowskim na czele. Towarzyszyli mu trzej ministranci: Sergiusz Kłaczek, Edmund Tułko i Henryk Walenda, który wrócił właśnie ze swej misji dyplomatycznej w Nowym Delhi. Stasia skierowano do organu partyjnego na szefa, wymienioną doborową trójkę dziennikarzy zabrał ze sobą do pomocy w redagowaniu gazety.

(...) Wspomina Mieczysław Wójcicki, redaktor działu sportowego:

— Gdy przyszedł do nas, na odgłos jego kroków po skrzypiącej podłożu korytarza, chowaliśmy się ze strachu w pokojach. Kiedy nas opuszczał, płakaliśmy jak bobry. Nie zapomnę jego słów, skierowanych do nas, sportowców. „Chodźcie sobie u-tartymi ścieżkami. Zboczcie kiedyś z drogi, wejdźcie do szkół, odwiedźcie LZS, koła sportowe w zakładach pracy. Sport wy-czynowy to nie wszystko. Stajcie się umasować tę piękną dziedzinę życia!”

„Moj” wprowadził innowację. Co piątek „Głos” zamieszczał dodatkową rubrykę sportową z zapowiedzią niedzielnych imprez w szkołach i zakładach pracy, a we wtorki — wyniki spotkań. Pomysł chwycił, nakład momentalnie drgnął. „Głos” pozyskał ponad 100 korespondentów sportowych, rekrutujących się głównie z młodzieży szkolnej.

Dziennikarzom z działu rolnego powiedział:

— Pięknie opisywanie w swych reportażach wyzłoczone słońcem pola łubinu, wiatr muskający dorodne kłosa zboża. Poproście kierowcę, niech zatrzyma samochód. Porozmawiajcie z rolnikami. Jak im się pracuje, jakie mają kłopoty, czy starcza im ziarna pod zasiew...

Jerzy Wilmański, znany literat, poeta, satyryk, dawny dziennikarz „Głosu”, do dziś piszący tam felietony, z rozrzwieniem mówi o swym dawnym przycypale:

— Pięć lat pracy u Stanisława Mojkwowskiego wspominać będę zawsze ze wzruszeniem i sentymentem. Latem 1963 roku byłem dziennikarskim „wolnym strzelcem” bez dorobku, autorem mało znaczącego tomiku wierszy — i właśnie wówczas Moj powiedział: „Chyba macie serce do dziennikarstwa — jeśli za rok nadal ten zawód wam nie zbrzydni, wezmę was do „Głosu”. Potraktowałem to jako konwencjonalną uprzejmość i niezobowiązującą obietnicę. O etaty było wówczas szalenie trudno. Nie znalazłem jeszcze wtedy Stanisława Mojkwowskiego. Równy rok po tej rozmowie — latem 1964 roku — Moj zaproponował mi etat w „Głosie”.

Był wspaniałym szefem — mądrym, sprawiedliwym. Każdemu, kto go poznał, musiał na zawsze pozostać w pamięci. W mojej niewielkiej powieści „Tak prędko coraz pręde” występuje jako Wielki Szeff.

W roku 1955 Marian Brandys w swojej książeczce — wspomnieniu z oflagu w Woldenbergu przypomina, że wśród jeńców cieszyli się ogromnym powodzeniem „mówione felietony” młodego dziennikarza z Tarnowa, Stanisława Mojkwowskiego. Po latach — już w Łodzi — ja sam pamiętam jego „mówione felietony” w łódzkiej telewizji. Programy szły na żywo — Moj mieszkał na Narutowicza, naprzeciwko wieżowca TV. Przychodził do studia na parę minut przed emisją, bez notatek, bez kartki... Stawał przed kamerą i mówił. Zwięźle, mądrze, dowcipnie — w ściśle wyznaczonym czasie mieścił się temat, sentencja, puenta... Szkoda, że nikt tego nie utrzymał...

Nie wszystkim w redakcji zastał Moj w porządku. W dziale rolnym panowało rozprężenie. Paru dziennikarzy miało zwyczaj zamykania się w pokoju w godzinach pracy i skracania sobie czasu grą w karty. Mojkowski kategorycznie zabronił tych praktyk, nie mających nic wspólnego ani z agrokulturą, ani z dobrymi obyczajami. Ktoś, kto bardzo chciał wkraść się w łaski nowego szefa, zawiadomił go konspiracyjnym tonem, że tego a tego dnia, o tej a o tej porze, koledzy z rolnego znowu mają rozegrać partyjkę brydza. Pół godziny przed zapowiedzianym roberkiem Moj prosił do siebie całą czwórkę oraz donosiciela. Wziewani gorąco zaprzeczali. Na to Moj do autora informacji: „To jak, towarzyszu? Przynosicie niesprawdzone wiadomości?” Od tego czasu donosy, których Moj chrończnie nie cierpiał, ustaly, jak nożem uciął. A do brydza zasiadano w klubie po godzinach pracy.

Rosjanie mówią: dielo mastiera boitsa. Co oznacza w wolnym przekładzie — dobry majster sprawi się z robotą, a dosłownie: robota boi się majstra. Majster, mistrz Mojkowski, nie bał się roboty. Wszędzie zajrzał, poradził, usprawnił. Nakład rósł jak na przedwojennych drożdżach. 100 tysięcy! 200 tysięcy! Gdy osiągnął ćwierć miliona, pogratulowałem Stasiowi.

— Zobaczysz, Adaszek, dołączymy do pół miliona! — obiecał. Była to tak magiczna liczba, że uśmiechnąłem się z powątpiewaniem i odpowiedziałem „szlagwortem” pomyslanej przeze mnie, nigdy nie napisanej piosenki: „Jeżeli to ci wyjdzie, jeżeli to się uda, zacznym wierzyc w cuda!”

A cud stał się rzeczywistością. Nakład „Głosu”, wynoszący z chwilą objęcia rządów przez Moja 23 tysiące egzemplarzy (niektórzy nawet twierdzą, że tylko 17 tysięcy) za szefostwa redaktora Mojkwowskiego skoczył do pół miliona! Tyle bił „Głos” egzemplarzy wydania sobotnio-niedzielnego. Już w południe ludzie odchodzili od kiosków z pustymi rękoma.

Historia godna badań socjologicznych. Przecież Stanisław Mojkowski te pół miliona osiągnął przy pomocy starego zespołu redakcyjnego! Nikogo nie zwalniał, nie przeprowadzał żadnych zasadniczych zmian personalnych. Pracował z tymi samymi ludźmi, którymi dysponowali jego poprzednicy. Po prostu tchnął w nich nowego ducha, rozbudził ambicje i zapal, umiejętnie pokierował kolegami. Stworzył gazetę, do kupna której nikogo nie trzeba było zachęcać. Przełamał pokutującą opinię, że ludzie nie chcą czytać gazety „ze stemplem” partyjnym. Dowiódł, że sięgną po każdą gazetę, jeśli to będzie gazeta poruszająca ich sprawy codzienne, żywa, ciekawa.

Po 14 latach pobytu w Łodzi, w 1967 r. Stanisław Mojkowski przeniósł się do Warszawy, powierzając „Głos” Sergiuszowi Kłaczekowi. Szereg lat kierował „Trybuną Ludu”, był prezesem Zarządu Głównego Stowarzyszenia Dziennikarzy Polskich. Jedzieliśmy do niego dzielić się swymi troskami, rzadziej radościami. O pomoc i dobrą radę prosiłmy go i później, gdy został prezesem Zarządu Głównego RSW „Prasa”. Mimo nawalu zajęć, zawsze znajdował dla nas wolną chwilę i z sentymentem wspominał „Łódzką czasy”. Nigdy nie zapomnę jego słów, gdy złożyłem mu wizytę w „Trybunie”:

— Żebyś wiedział, Adaszek, w Łodzi było mi z wami naj-lajepiej...

Śmierć Stasia wstrząsnęła nami. Pogryzła nas w głębokiej żalobie. Jego popularność wybiegała daleko poza granice kraju. Nawet tak odmienny kulturowo i politycznie londyński „Times” zamieszczał wiadomość o zgonie redaktora Stanisława Mojkwowskiego.

Przestępując do pisania tego rozdziału, ze szczególną dociekliwością wypytywałem kolegów o jakieś nie znane mi szczegóły dotyczące Stasia. Któryś powiedział:

— Powinieneś postawić mu pomnik w swej książce.

Redaktorowi Mojkwowskiemu nie trzeba wznosić pomnika. Sam go sobie postawił, trwalszy od granitu. Niezmordowaną pracą i zaangażowaniem w walce o szczytne ideały. Szlachetnością i postawą obywatelską. I tą swoją dobrocią, która przysparzała mu wszędzie tylu przyjaciół.

Fragment wspomnień z przygotowywanego do druku drugiego tomu książki pt. „Reporter przed konfesyjonałem, czyli jak się po wojnie robiło gazetę”. Zaznaczone wielokropkami skróty pochodzą od redakcji.

Prezentowany fragment zamyka przekazany redakcji przez Adama Ochockiego cykl materiałów, choć wiemy jednocześnie, że nad niektórymi rozdziałami książki autor wciąż jeszcze pracuje...

Włochy — RFN bez biletu

Dokończenie ze strony 1

następnie zaś zainstalować w hotelu kilka innych pięćdziesięcioletnich dzieci, z których każde powróci niebawem do kraju w glorii światowca.

— Za rączkę i na przystanek autobusów. Kilka przymilnych słów do kierowcy:

— Pan będzie łaskaw wysadzić tych panów przy stadionie Santiago Bernabeu.

— Si, señor.

A tu wrzask:

— Jak to? Ty nie jedziesz?

— Nie.

— Dlaczego?

— Bo chcę od was trochę od-

począć. Tylko panowie, bez kawalów, odbierzcie mój bilet.

— Nie ma sprawy.

Ja wiem, czy nie ma? Za

wejściówkę na mecz Brazyli-

— Argentyna płacił od ręki

sto dolarów. Tu, w Madrycie,

w związku z prawdziwą inwa-

zją Los Macarrones i Los Ale-

manes, ceny podskoczyły do

dwustu. Pele, zwierzał się póź-

niej reporterom:

— Robiliśmy wszystko, co w

naszej mocy, żeby zdobyć bilet

dla Bjorna Borga.

A ja w tym czasie, trawestu-

jąc słowa radzieckiej piosenki:

szagajet po Maskwie... Maszeru-

ję miastem, które znam lepiej

niż moją rodziną Warszawę

i moją ukochaną Łódź. Okrą-

żam Zaułek. Nożowników,

wchodzę na Plaża Mayor, któ-

ra jest w remoncie, i — spo-

tyłkam pewnego amigó.

— Szukam przyjaciela, co mi,

co mi, rękę podał — Najlepsza

piosenka Stana Borysa, chociaż

te cerkiewne jaskółki, szamo-

czące się pod kopułą, też są

dobre.

On:

— Umre!

— Nie umiera!

— Nie wierze!

— Uwierz!

— Jak się tu wzięłeś?

— Normalnie.

— Chcesz pieniędzy?

— Za co?

— Wysłałeś mi przecież parę

znaczków...

— I co z tego?

— Dam ci tysiąc.

— Zartujesz.

— A ile chcesz?

— Pięć tysięcy.

— Dobrze! — mówi. — Dam

ci piątkę. Ale pod jednym wa-

runkiem.

— Jakim?

— Że przyjdiesz do mnie na

kolację.

— Nie mogę przyjść do cie-

bie na kolację.

— Czemu?

— Bo idę na mecz.

— Mecz możesz obejrzeć u

mnie. Mam kolorowy televi-

zor.

— Na stadionie też będzie

kolorowo.

— Rób jak chcesz. Skoro fut-

bol jest ważniejszy dla ciebie

niż przyjaciel...

— Ja tu pracuję, człowieku!

— To przyjdź po meczu.

— O dwunastej w nocy?

— Chociażby.

— Dobra.

— Słowo?

— Słowo.

— Gdzie teraz idziesz?

— Do hotelu. Muszę się tro-

chę przespać.

Spałem do siódmej. Kiedy

wysiadłem z autobusu w oko-

licach stadionu, było już póź-

no, a tu jak na złość nie chcie-

li mnie wpuścić głównym wej-

ściem. To znaczy: czterech

chciało, ale uparli się piąty.

— Bez biletu nie da rady —

powiedział.

— Mam bilet.

— Gdzie?

— Nie wiem dokładnie. Ko-

ledzy przyrzekli, że go odbio-

ra i poczekają na mnie przed

wejściem.

— I jakoś nie czekają?

— Ano, nie.

— Więc musi pan opuścić

hall.

— Zlituj się, szefie!

— I to natychmiast!

Dwaj policjanci, którzy do-

tychczas stali spokojnie, obrzu-

cili mnie kosym spojrzeniem.

Wycofałem się na zatłoczony

plac i nagle... nagle zo-

baczyłem króla. Jana Ka-

rola Pierwszego, który nie-

spieszonym, choć dziarskim kro-

klem zmierzał do sąsiedniej

bramy. Granatowy garnitur,

krawat w tym samym kolorze...

Wysoki, postawny mężczyzna,

budzący, co tu dużo gadać, po-

dział i respekt. Nie zauważy-

łem przy nim żadnego goryla,

choć strzegło go z pewnością

kilkanaście par oczu. Taki

ochroniarz nazywa się po hisz-

pańsku guardia espaldas, czyli

strażnik pleców.

Chciałem krzyknąć:

— Królu, nie chcą mnie wpu-

ścić! Zrób coś dla biednego Po-

laka!

Jak Boga kocham, chciałem

tak krzyknąć, ale nagle pod-

szedł do mnie jakiś gość, zna-

jomy z La Corunii, i powie-

dział:

— Widzi pan ten biały bu-

dynek po drugiej stronie pla-

cu?

— Widzę.

— Tam też jest Biuro Pra-

sowe, połączone mostem z try-

bunami.

Biegnę. Przez plac. Przez jez-

dnie i chodniki. Budynek znaj-

duje się niby tuż-tuż, a wciąż

jest daleko. Wreszcie wpadam

złajany do środka. Nikt nie

wie o moim bilecie; ani

portierzy, ani policjanci, ani

hostessy. Któraś radzi, abym

wrócił tam, skąd właśnie przy-

szedłem. Na rozmieszczonych

tu i ówdzie monitorach widzę,

że rozpoczął się mecz.

Cedzę przez zęby:

— Proszę pani, jestem jedy-

nym polskim dziennikarzem,

który zna hiszpański, a mimo

to właśnie ja nie obejrzę fina-

łu. Jak to dobrze uczyć się

obcych języków!

— W czym ja panu mogę po-

móc?

— Jak to w czym? Przecież

widzi pani moją kartę akredy-

tacyjną. Proszę odnaleźć mój

bilet.

— Gdzie?

— Nie wiem, gdzie?

— Punkt odbioru biletów

prasowych jest już zlikwidowa-

ny.

— Ale ktoś ma mój bilet w

kieszeni.

— Pytanie tylko: kto?

— No właśnie.

— Dobrze. Niech pan idzie

ze mną.

Jest w mundurku, więc roz-

stępują się przed nami wszel-

kie straż. I oto wchodzę do

łóży prasowej bez biletu. Wiel-

ka ulga i nie mniejszy sukces.

Dziękuję wylewnie hostessie.

Rozglądam się za wolnym miej-

scem. Tłok jest jak diabeł, ale

ci, którzy weszli na gapę, nie

mają mimo wszystko odwagi

siadać przy pulpitych praso-

wych, ja natomiast mam do

tego święte prawo. Wpakowałem

się pomiędzy jakiegoś Argen-

tyńczyka i Belga. Uprzejmi fa-

ceci! Podali mi składy drużyn

oraz listę obserwujących mecz

osobowości. Oprócz pary kró-

lewskiej: Juana Carlosa I i

Doni Sofii przybyli również —

premier Hiszpanii, Leopoldo

Calvo Sotelo; prezydent Włoch,

Sandro Pertini; kanclerz RFN,

Helmut Schmidt oraz wielu

innych polityków, artystów,

działaczy sportowych.

Marek Dziuba o Grzegorzu Lacie

Pytam:

— Jaki mecz utkwił panu

najbardziej w pamięci?

— Ten ze Związkiem Radzie-

ckim.

— Sądzi pan, że było to naj-

ważniejsze spotkanie w pań-

skiej dotychczasowej karierze?

— Chyba tak.

— Dlaczego?

— Bo nie tylko dobrze gra-

łem, ale równocześnie, wraz z

całą drużyną, potwierdziłem to

zdobyciem medalu. W tym mo-

mentcie weszliśmy przecież do

połfinałów.

— Na konferencji prasowej

dziennikarz katowicki zadał pa-

nu podobne pytanie. Pamięta

pan?

— Pamiętam.

— Odpowiedział pan wów-

czas, że zdaniem fachowców i

pańskim własnym zdaniem, ży-

ciowy mecz rozegrał pan na

Stadionie Śląskim przeciwko

Holandii w eliminacjach do Mi-

strzostw Europy.

— To prawda. Ale ten sam

dziennikarz zdołał mnie prze-

konać, że lepiej grałem jednak

przeciwko Rosjanom.

— Pańska wielka passa w

Hiszpanii zaczęła się od meczu

z Peru wiańczykami, kiedy to w

dwudziestej szóstej minucie

zmienił pan kontuzjowanego

Jaoche. Do tej pory nikt na

pana nie stawiał, był pan w

odwodach na wypadek jakiegoś

nieszczęścia. Co pan czuł wcho-

dząc na boisko z pozycji nie-

kochanego rezerwisty?

— Przez dwadzieścia minut,

a więc do końca pierwszej po-

łowy byłem siąpiły, zdenerwo-

wany. Wiedziałem, że ciąży na

mnie wielka odpowiedzialność.

Poza tym... wszyscy koledzy

mieli świadomość upływające-

go czasu. Jak tu zdobyć tę

pierwszą bramkę?

— Ciarki chodzą mi po krzy-

żu na samo wspomnienie.

— Mnie też. Ale w drugiej

połowie byłem już całkowicie

opanowany.

— To znaczy: pewny zwycię-

stwa?

— Nie. Po prostu wiedziałem

już, co mam robić. Wpasowa-

łem się do gry, rozbiegałem.

Pomógł mi w tym zresztą

Grzesiek Lato.

Marek Dziuba nie jest czło-

wiekiem specjalnie rozmownym,

znam bardziej gadatliwych za-

wodników, a przecież właśnie

on powiedział parę zdań ory-

ginalnych, takich, które uspo-

kają zaraz wasze zachłanne,

spragnione sukcesów serca.

Słuchajcie uważnie!

W kręgu fantastyki

Na końcu chłodnego korytarza, obok schodów prowadzących na wyższe piętra, wisiała tabliczka „DYREKTOR INSTYTUTU”. Czernow pchnął drzwi. W wielkim oknie, w prześwicie między drzewami złocili się na tle nieba dalekie kopuły jakiejś świątyni. Przy stole pod oknem siedział młody człowiek w ciemnych okularach i nieprzyjemnym wzrokiem patrzył na Czernowa.

— Czym mogę służyć?
— Chciałbym się widzieć z dyrektorem.
— Czym mogę służyć? — powtórzył młody człowiek.
Czernow ponieważ nie zorientował się, że pokój ma tylko jedno drzwi — te, przez które wszedł.
— Pan jest dyrektorem tego instytutu?
— Dyrektora nie ma. Urlopy, nikogo nie ma. Lato, upały, rozumie pan. Jestem jego zastępcą. Nazywam się Małow — przedstawił się nie podając ręki. — Czym mogę służyć?

Czernow milczał.
— Proszę usiąść.
Czernow opadł na fotel dla gości. W twarzy Małowa nie dostrzegł nawet najmniejszego śladu zyczliwości.

— Do pracy? — spytał Małow.
Czernow w milczeniu patrzył na niego. Taki młody, a już zastępca. Na pewno karierowicz. Zresztą, teraz wszyscy wyglądają na młodych i karierowiczów.

Małow czekał.
— Nie — powiedział w końcu Czernow. — Jestem kosmonautą.
— Ja... Nie trzeba. I tak wszystko wiem.

Małow pstryknął wyłącznikiem i teraz patrzył na niewidocznego dla Czernowa ekran.
— Czernow Anatolij Wasiliewicz. Rosjanin. Rok urodzenia 1986. Zawodowy kosmonauta. Opuszczył Ziemię w 2020 roku, wrócił miesiąc temu. Przypuszczam, że sprzedali pana. Teraz każdy nosi ze sobą biografię.

— A ja myślałem, że to po prostu numer. Kombinacja cyfr i nie więcej.

— Stusnie — uśmiechnął się Małow. — Takie urządzenia, jak u mnie, zainstalowane są wszędzie. Zarejestrowało ono pański numer i przekazało go do informacji, gdzie przechowywane są dane o wszystkich mieszkańcach Ziemi, ale przecież nie po to przyszedł pan do mnie, żeby mi panu to tłumaczyć.

— Owszem — przytaknął Czernow.

Małow czekał.
— Wróciłem z trudnego lotu — powiedział Czernow. — Dla Ziemi rejs trwał dwadzieścia lat. Ci, którzy nas wyprawiali, dawno już są martwi.

— Oczywiście.
— Po powrocie umieścił mnie w specjalnym ośrodku. Słuchałem tam wykładów o technicznych osiągnięciach ludzkości.

— Jasne. Wydaje mi się, że zawsze tak się robi.
— Z wykładów dowiedziałem się, że współczesna nauka rozwiązała wiele problemów, o których nam się nawet nie śniło.

— Nic dziwnego — przytaknął Małow. — Całe dwa wieki.

— Dowiedziałem się, że zwłaszcza w dziedzinie medycyny osiągnięto znaczny postęp. Rak pokonany. Nieuleczalnych chorób nie ma. Nauka znacznie zbliżyła się do rozwiązania problemu nieśmiertelności.

Małow przytaknął.
— Dowiedziałem się jeszcze, że odkryto sposób ożywiania martwych.

Małow milczał, chowając wzrok za ciemnymi szklami.

— Dowiedziałem się, że problemem tym zajmuje się właśnie ten instytut, Instytut Reanimacji — kontynuował Czernow. — Mówią, że możecie odtworzyć żywą istotę na podstawie najbardziej znikomych resztek.

— Nawet na podstawie skamieniałych kości — powiedział Małow. — Każda komórka zawiera informacje o całości organizmu, z którego pochodzi. Proces reanimacji, według naszej metody, składa się z dwóch etapów. Najtrudniejsza jest reanimacja pierwszej komórki. Drugie stadium, to ostateczna odbudowa organizmu. Ten etap pochłania dużo czasu i energii, ale w zasadzie jest prosty. Pierwsze mamuty, z tych, które żyły teraz na Antarktydzie, odtworzyliśmy właśnie w ten sposób.

Małow umilkł. Przez pewien czas Czernow również milczał. Rozmowa zaczęła odbiegać od tematu. Wreszcie Czernow powiedział:

— Mamuty. Nie rozumiem. Czyżby nie było bardziej godnych obiektów?...

— Co pan ma na myśli?
— Ludzi — wyjaśnił Czernow. — Z wykładów dowiedziałem się, że ożywienie tylko wymarłych stworzy. To wzbudziło mnie znacznie bardziej, niż sam fakt wskrzeszenia. A może się mylę?
Małow milczał.

— Wróciłem zaledwie miesiąc temu. Wiele rzeczy mi się u was nie podoba. A zwłaszcza to. Ale skoro wskrzeszacie mamuty... Proszę mi powiedzieć, co zrozumiałem niewłaściwie, a pójść sobie.

Małow zdjął ciemne okulary. Jego oczy były zmęczone. Bardzo już niemłode.

— Nie, wszystko zrozumiał pan prawidłowo. Ale do drugiego etapu potrzebna jest energia. Kolosalne ilości energii.

— Więcej niż dla mamutów?

— Z mamutami sprawa była prosta — powiedział Małow. — Postawiono nam zadanie reanimowania kilku osobników, obojętnie jakich. Samca i kilka samic. Ludzie — to zupełnie inna sprawa. Proszę pamiętać, że istnieją problemy moralne nie mające z biologią nic wspólnego.

Czernow w milczeniu spoglądał na dalekie kopuły w oknie za plecami swojego rozmówcy.

— W miarę upływu lat w komórkach organizmu narastają zmiany nieodwracalne — kon-

mój towarzysz zajął miejsce w kabinie kutra i rozstaliśmy się. Wkrótce okazało się, że na zawsze.

Coś w twarzy Małowa zmieniło się.

— Na pewno domyślił się pan, że kuter doznał awarii. Ale człowiek ocalał. Przeprowadzał zaplanowane badania i przekazywał mi ich rezultaty. Kiedy potok informacji urwał się i kiedy ostatecznie się wyjaśniło, że odremontowanie kutra jest niemożliwe, pożegnaliśmy się i wystartowałem ku Ziemi!

— A on...
— Tak — Czernow skinął głową — pomóc mu i tak nie mogłem. Zresztą obaj uważaliśmy, że to bardzo ważne — dostarczyć na Ziemię informacje o biosferze planety. Tak, to było najważniejsze.

Małow nie powiedział.

— Służyłem Ziemi. Nie było mi lekko, ale inaczej nie mogłem postąpić. Teraz, znajdując się pośród ludzi, których ta informacja chyba nie interesuje, patrzę na wszystko

pomniąc Małow. — Nie starsi niż trzydzieści lat.

— Wszystko jedno. Lermontow, Goya... Wiele takich było.

— Tak — zgodził się Małow. — W tym cały problem.

— Nie. Mimo wszystko można ich policzyć na palcach. Problem nie w ilości. Ale w... Wy... — Czernow zaciął się. Właściwie potrzebne słowa były, ale on nie od razu zdecydował się je wymówić. — Wy o niczym nie pamiętacie!...

Małow nie odpowiedział. Przez pewien czas nieruchomo siedział na tle dalekiego nieba i w jego oczach znać było zmęczenie. Potem wstał.

— Tak. My o niczym nie pamiętamy — powiedział. — Chodźmy.

Przez kwadrans stali na wąskiej platformie na szczycie ażurowej wieży nad zwartym oceanem listowia. W jaki sposób się tu dostali? Czernow niezupełnie rozumiał. Stracił orientację. Pamiętał tylko, jak wychodzili z budynku instytutu, potem długo dokąś szli ulicą podobną raczej do alei w parku, potem wchodzili po wysokich, krętych schodach.

Pod nimi, aż po sam horyzont rozciągało się zielone morze. Gdzieś tam, jak góry lodowe, sterczały bryły domów. Nad miastem oddychało się jak w górach, wiał wiatr i po wierzchołkach drzew biegiły fale. Cienka rura o przekroju trójkąta uchodziła w dal. Wzdłuż rury, wprost na nich, pędziło coś szybkiego, bezzwicznego.

— Monor — objaśnił Małow. — Kolej jednoszynowa. Teraz to u nas podstawowy środek transportu.

Smukły, opływowy wagon zasklepił obok, nie zwalniając biegu i pozostawiając po sobie słabnący porыв wiatru.

— Dokąd pojedziemy? — spytał Czernow.

— Wszystko jedno — uśmiechnął się Małow. — Moim zdaniem to nie ma znaczenia.

Nowy wagon płynnie zahamował przy platformie. Ścianka schowała się. Wszli do środka. Wagon drgnął i pomknął nad zieloną równiną. Pajęczyna dróg błyszczała nad miastem pośród białych wysp gmachów.

— Czy mógłbym dowiedzieć się, dokąd mnie pan wiezie? — natychmiast powtórzył Czernow.

— Uważa pan, że o niczym nie pamiętamy. I nie chce pan zrozumieć, dlaczego nie robimy doświadczeń z ludźmi. Pomogę panu znaleźć odpowiedzi na te pytania. A dokąd konkretnie jedziemy — nie wiem! To naprawdę jest całkiem obojętne.

Czernow milczał przyglądając się pasażerom. Same kobiety, z wyglądu zupełnie młode. Sukienki krótkie i na dokładkę różowe. Kobiety przykrywały kolana wspaniałymi bukietami, wszystko przenikał aromat nieznanych kwiatów. Wagon monora poruszał się szybko, czasami zatrzymując się.

— Nie rozumiem, po co im tyle kwiatów — powiedział Czernow. — I kiedy one wszystkie pracują? Południe — ale ulice zatłoczone spacerowiczami. Kiedy ci wszyscy ludzie pracują — oto czego nie rozumiem.

Wagon znów zahamował — tym razem gdzieś za miastem. Widać było to końcowy przystanek i wagon monora zatrzymał się wprost na ziemi. Dziewczęta z kwiatami w rękach zeszły po lekkich schodkach i szły teraz wąską ścieżką ginącą między lasem i polem. Małow i Czernow zostali nieco z tyłu. Ścieżka wznosiła się. W górze szumiły wysokie sosny, na polu kosiły się trawy.

— Teraz lato — powiedział w końcu Małow. — Urlopy, mówię już. Proszę się nie złościć.

Podjęcie kończyło się. Minęli ostatni zakręt i Małow zatrzymał się, a grupa dziewcząt szła dalej — tam, gdzie na ziemi pod wysokimi sosnami leżała prosta, kamienna płyta i pisał Wieczny Ogień.

— I w ogóle proszę się nie złościć — powiedział Małow. — Wszystkie trasy monora kończą się w takich miejscach. Wszędzie, kąd kiedyś przeszła wojna, ziemia zmieszana jest z prochami poległych. Z każdej jej części mogliśmy wskrzesić człowieka. Byłyby ich dziesiątki milionów. Większość — to prawie dzieci. Oni również niczego nie zdążyli zrobić dla ludzkości. Niczego, oprócz najważniejszego. Oto o jaki wybór chodzi. Teraz pan rozumie?...

Umilkł. Czernow również milczał. Przedstawiciele różnych epok stali ramie. Kwiaty nierównymi wózkami upadły na ciemny granit, a dziewczęta w różowych sukienkach odeszły z pustymi rękami.

Tłumaczenie:
DARIUSZ MILERSKI

Już wkrótce ukaże się w kioskach nowy miesięcznik „Fantastyka”, który witamy w szczerym przekonaniu, że podobnego tytułu wyrażenie brakowało na polskim czytelnym rynku. Oczywiście małe „Odgłosy” — wydzielające na science-fiction zaledwie dwie kolumny, a dziś wyjątkowo nawet tylko jedną — nie będą dla wielostronowej „Fantastyki” żadną konkurencją, postanowiliśmy przede wszystkim zachować nasz skromny dział, w którym przecież zadebiutowała i z którym współpracuje spora już grupka młodych autorów. W przyszłości o opinie w tej sprawie poprosimy zresztą również czytelników.

Jednocześnie kolegom z „Fantastyki” — której pierwszy numer, o ile nam wiadomo, ukaże się w drugiej połowie października — życzymy wielu pięknych sukcesów. Witamy też nowe pismo obywatelskich fragmentów wywiadu z jego redaktorem naczelnym Adamem Hollankiem, który zacerpnął z krakowskiego „Dziennika Polskiego” (10—12 września br.).

J. P.

Science Fiction po polsku

— Czy nie sądzi Pan, że w dzisiejszych mało spokojnych dniach, wydawanie pisma poświęconego problemom fantastyki naukowej nawiązuje do przedsięwzięcia co najmniej ryzykownego? Czy znajdują się tak liczni czytelnicy? Nie zabraknie autorów? — tymi wątpliwościami dzielił się z redaktorem naczelnym miesięcznika „Fantastyka”, niedługo moim kolegą redakcyjnym, a później dziennikarzem „Trybuny Ludu” i autorem książek z gatunku science-fiction, ADAMEM HOLLANKIEM.

— Zainteresowanie literaturą science-fiction — a książek tego gatunku wydaje się w Polsce coraz więcej z każdym rokiem — świadczą o tym chociażby liczne zamówienia. O konieczności wydawania podobnego pisma, jak „Fantastyka”, mówiło się od dobrych paru lat. Byłem ostatnio w Monchen-Gladbach, na międzynarodowym zjeździe twórców fantastyki i jej miłośników pn. „Eurocom VII”. Tam, podczas rozmów z zagranicznymi wydawcami przekonałem się, że wysoko są oceniani polscy autorzy science-fiction. Wolfgang Jaeschke, naczelny redaktor wydawnictwa „Heyne Verlag” zamierza np. drukować całą serię książek naszych autorów, takich jak Sierb-Wisniewski, Andrzej Zieliński, Krzysztof Boruń i inni. Pan Jaeschke, doskonały fachowiec w tej branży, uważa, że polska fantastyka naukowa reprezentuje wyższy poziom literacki niż fantastyka w wielu krajach zachodnich. I — jak twierdzi — „dobrze się sprzedaje”. Dodam, że głos jego nie był na tym zjeździe odosobniony.

— Pierwszy numer „Fantastyki” znajdzie się w sprzedaży już wkrótce. Co proponujecie czytelnikom?

— W każdym numerze mamy zamiar drukować obszernie fragmenty dobrych powieści. Zaczniemy od powieści Arkadego i Borysa Strugackich „Zuk w mrowisku” oraz powieści „Pieśń dla Lyanny”, napisanej przez Martina — wschodzącego gwiazdę amerykańskiej fantastyki naukowej. Martin dostał w 1976 roku jedną z najważniejszych nagród w tym gatunku, a mianowicie nagrodę Hugo. Nie otrzymuje jej za byle co. Zaproponujemy również najciekawsze przekłady literatury światowej takich pisarzy, jak Del Rey, czy Peter Zsoldos, którego fragment powieści „Zadanie” drukował w „Oficynie” także „Dziennik Polski”.

(...)
— W kilku miastach, m. in. w Krakowie i Katowicach, działają od lat kluby miłośników fantastyki naukowej. Czy redakcja ma zamiar szukać tam sojuszników, a może nawet autorów?

— Oczywiście. Listę książek-bestsellerów science-fiction będą w każdym numerze układał krytycy i czytelnicy. Ciekawe, czy ich głosy zbiegną się, nie sądzi pan?

— Marzy mi się dobry komiks w takim miesięczniku. Nie mamy wprawdzie komiksowych tradycji, ale na Pana miejscu zarzykowałbym...

— Pomysłaliśmy oczywiście o komiksie, przeznaczonym głównie dla najmłodszego czytelnika. Nie jest łatwo znaleźć autorów, ale wierzę, że te trudności uda się jakoś przełamać. Chcemy także prezentować w rubryce „Pożółte karty” sylwetki polskich autorów, kiedyś zajmujących się fantastyką naukową, takich jak Stanisław Baliński, Jerzy Żuławski, Antoni Słonimski. I oczywiście fragmenty ich książek, często zapomnianych. Po prostu w tym miesięczniku każdy czytelnik powinien znaleźć coś dla siebie: i szkice na tematy filozoficzne i społeczne, materiały o przyszłości świata i społeczeństw, artykuły o wszechświecie i filozofii natury, a nawet... wiersze, wywodzące się z baśni i science-fiction.

— Przewiduje Pan podobno duży nakład?

— Krajowe Wydawnictwo Czasopism, któremu podlegamy, zamierza wydawać „Fantastykę” w nakładzie stu tysięcy egzemplarzy.

— Gazety, a także ambitnie redagowane tygodniki i miesięczniki, zalegają kiosk i zmniejszają nakład. Jakich Pan spodziewa się zwrotów?

— Chciałbym, żeby pismo nie miało zwrotów.

Rozmawiał:
STANISŁAW M. JANKOWSKI

MICHAŁ PUCHOW

Kwiaty ziemi

MICHAŁ GRIGORIEWICZ PUCHOW, ur. w 1944 roku w Tomsku. Ukończył moskiewski Instytut Fizyko-Techniczny i również w Moskwie pracuje naukowo. Pierwsze opowiadanie S-F młodego autora „Ekspedycja myśliwska” opublikowano w radzieckim almanachu „Fantastyka 1967”. Opowiadania M. Puchowa ukazywały się w licznych czasopiśmie i zbiorach fantastyki.

tynuował Małow. — Dla człowieka próg, poza którym reanimacja jest niemożliwa, stanowi wiek trzydziestu lat. Jeśli śmierć nastąpi później — jesteśmy bezzilni. Ale nawet przy takim ograniczeniu pozostają miliardy kandydatur i powstaje problem wyboru.

Czernow milczał.

— Masowe ożywienie jest nie do pomyślenia z powodu ograniczeń energetycznych. Inne warianty odpadają. Problemy etyczne są bardziej skomplikowane niż naukowe. Proszę nie myśleć, że jest pan pierwszy. Jesteśmy bezzilni. Proszę postawić się na moim miejscu, a wtedy i pan to zrozumie.

— Nie — powiedział Czernow. Nie wie pan o mnie wszystkiego. Przecież ja wróciłem sam.

Małow czekał.
— Było nas dwóch. Lot w jedną stronę zajął nam pięć lat. Planeta, koło której się znaleźliśmy, była okryta trującą, wedle naszych po-

inaczej. Ale wtedy wydawało się nam, że to jedyne możliwe rozwiązanie.

Małow milczał.

— Teraz patrz na to wszystko inaczej — powtórzył Czernow. — Zupełnie możliwe, że on już wtedy rozumiał, że tak będzie. Po prostu udawał wobec mnie. I to, że go porzuciłem...

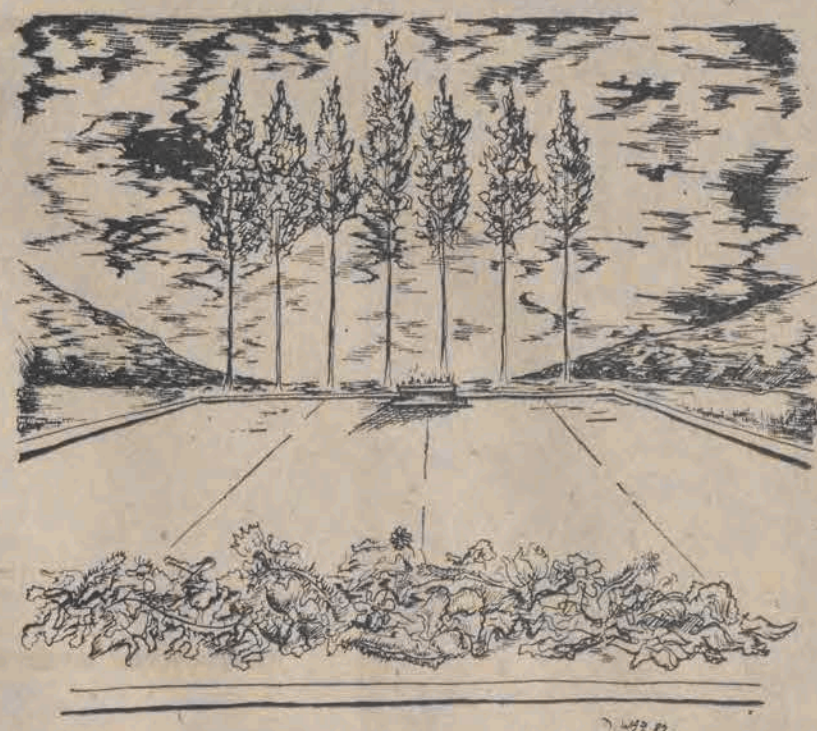
— Nie trzeba — powiedział Małow. — Panu było trudniej. On był skazany, a pan — bezzilny.

Czernow nie odpowiedział. Patrzył w okno w prześwit między drzewami.

— Tym, którzy są bezzilni jest trudniej — powtórzył Małow. — My również jesteśmy bezzilni.

Nad dalekimi kopułami piętrzyło się niebo. Błękitne Niebo-Zabójca.

— Nie, nie zgadzam się — powiedział w końcu Czernow. — Wszystko zrozumiałem, ale się nie zgadzam. Rzeczywiście, ludzkość nie



Rys. Dariusz Wąż

jęć, atmosferę. Ale na jej powierzchni tylko się prymitywne życie. To było wszystko, co udało się nam ustalić z orbity...

Małow słuchał uważnie.

— Tak jak i inne gwiazdołoty pierwszej generacji, nasz statek nie był przystosowany do lądowania... Na pokładzie znajdował się kuter desantowy — jednodziobowa rakietka o bardzo ograniczonych możliwościach. Jak było przewidziane w programie lotu,

ma wobec nas żadnych zobowiązań. Dla Ziemi mój towarzysz to jeden z miliardów. Niech będzie. Ale przecież byli inni.

— Kto?

— A bo to mało wybitnych ludzi żyło na Ziemi we wszystkich epokach? — powiedział Czernow. — Ludzi, bez których wasz świat byłby inny? Bez których byłby nieporównanie gorszy niż jest teraz?

— Niech pan nie zapomina o ograniczeniu wiekowym — przy-



ODGŁO-SIKI

ORGAN PODAJENTA Polikarpa cena 50 gram

Ajenty tej Kolumny nie wychodzą na swoje... muszonym więc zostali część miejsca wydzierzawić Polikarpowi, podajentowi specjalistcie w branży satyryczno-gastronomicznej. Polikarp przeprowadził kalkulację, która wykazała, że jeśli swój organ będzie drukować, to nie "wyrobi". W ramach 3x5 cena jednego wiersza, czyli takiej jednej linijki w druku kosztuje 5 zł. Duże "ODGŁOSY" mogą sobie na to pozwolić, zwłaszcza jeśli drukują Pana Stryjskiego, czy Wtodkowskiego, bo do propagandy zawsze się dopłaca, ale już np. duperele Pana Sewicza z wczasów, czy o szachach nie są warte 5 zł. za wiersz w otowiu. Ajenty i podajenty nie mogą sobie pozwolić na dopłatę, dlatego ten organ pisany jest ręcznie. Jak się dorobią, też będą drukować. Przepraszamy, dziękujemy za wyrozumiałość.

ZAPRASZAMY LITERATÓW

NA OBIADY
"CWIARTKOWE"
"DZIŚ JEDNO DANIE
WAWRZAKI W SOSIE
KOPROWSKIM

PRZEPIS:
WAWRZAKI:

CIASTO JAK NA
CHALECZKE, DOBRZE
PRZYRUMIENIE,
AŻ DO KOLORU
CZERWONAWEGO.
UWAŻAĆ, BY NIE W
ZAKALEC!

SOS KOPROWSKI:
SUROWIEC Z GÓRY
NACISKAĆ, NAWET NIE ZBYT MOCNO,
AŻ PUŚCI SOK (FARBĘ)
PODAWAĆ NA SŁODKO Z UŚMIECHEM

WERSZYK DLA AJENTÓW

Furda! Precz
z biedą,
Co jak pies warczy!
Projekt podaje
Reform gospodarczych

Domiarów nowych
Nałożyć kupę
Aby Kryzysowi
Dać Kopa w

ZŁOTA MYŚL

W dzisiejszej
rodziny
nie ważne
Kto nosi
spodnie

Ważne, kto
sięga do ich
kieszenei!

KTO NARZEKA?

WSZĘDZIE SŁYCHAĆ SKARGI
AŻ CIĘ ŻAŁOŚĆ W SERCU ŚCISKA
W KTÓRE PÓJDZIESZ KRAJU STRONĄ
NARZEKAJĄ DZIŚ LUDZISKA...
PEŁNO TU RÓŻNYCH ZAMĘTÓW
MDŁO SIĘ ROBI GDZIEŚ NA DUSZ
OD NARZEKAŃ I LAMENTÓW
AŻ CZŁOWIEKA BOLAŁ USZY.
JEDEN KRZYCZY BO ZBYT GOŁY,
DRUGI KRZYCZY Z PRZYZWYCZAJEN
WSZĘDZIE TA JEDNA SROMOTA
BIEDNA LUDZKOŚĆ GNIECIE, NĘKA
KTO MA WIĘKSZĄ KUPE, ZŁOTA
TEN NA BIEDE GŁOŚNIEJ STĘKA!

NUDNO...

TRUDNO...
JEDNI SIĘ POCA
INNII KŁOPOCA
A PO CO?

STABILIZACJA

- OPTYMISTYCZNE
SPOJRZENIE
NA
KRYZYS



ZAPRASZAMY NA NAJWIĘKSZY
PRZERÓJ
LATA Z RADIEM
KACZUSZKI
pieczone z nadziankiem!
CENA UMOWNA - PŁATNA W 2 RATACH
RESTAURACJA "TIVOLI"



PRZYSŁÓWIA LUDOWE

OD PRZYBYTKU
GŁOWA NIE BOLI
ŚWATKA POLECA USŁUGI



Boso, ale w szarawarach

Z trudem, bo z trudem, ale udało się nam zdobyć wręcz sensacyjne zdjęcie przedstawiające obowiązującą modę letnią już na rok 1983. Modna kobieta występować będzie w szarawarach z czymś w rodzaju mankietów oraz w szalik z tego samego materiału, w ostateczności — z prześcieradła. Błuzki dopuszczalne są jedynie w dni wyjątkowo chłodne, zaś używanie obuwia będzie stanowiło wyraz pretensjonalności i złego smaku.

Musieliśmy — sami nie o tym nie wiedząc — spełnić jakiś okropnie dobry uczynek, skoro nagle zaświtało dla nas słończko, a Pan Li-stonosz zaczął znosić przesyłkę za przesyłką...

Nikt co prawda, przynajmniej jak dotąd, nie rozwiązał konkursu „Czyja to noga!”, co kłopotliwie świadczy o estetycznej wrzeliwości łódzkiej teatrológów i teatromanów, otrzymaliśmy natomiast miły list od kabaretu „Ściaga” z Gilawy, wraz ze zdjęciem zespołu i gustownym znaczkiem, na którym widnieje kolorowy ptaszek. Znaczek będziemy nosić w dni uroczyste, zaś list i zdjęcie — opublikujemy za tydzień.

Dlatego dopiero za tydzień, iż dwie trzecie dzisiejszej Kolumny Agencyjnej zajmuje nasz święty porządku sub-ajenty Polikarp, postać chwalebnie znana w Łodzi, jak również poza jej rogalkami. Propozycje Polikarpa przyjęliśmy bez chwili wahania, „albowiem mądrość — tu już cytujemy opowiadanie Stanisława Lema „Kobyszcze” — polega na tym, żeby zlecić komuś innemu robotę, którą miało się samemu wykonać”. Jeżeli zaś ten ktoś oferuje się z własnej woli, tym — rzecz zrozumiała — lepiej. W razie sukcesu część chwały spadnie i na nas, ajenta, zaś niezadowolonym bądź obrażonym będziemy mogli śmiało powiedzieć: „To nie my, to kolega”.

Innych różności, zdjęć, rysunków, wierszyków — otrzymaliśmy też co niemiara, tak iż wręcz zaczęliśmy się obawiać posadzenia o spekulację satyryczno-rozrywkowym towarem. Jedyna nadzieja w tym, iż dobrowolnie

SZCZĘŚLIWY DZIEŃ AJENTA

mat spółdzielczości; trudno, będziemy musieli chyba wziąć Clotkę do spółki, wtedy się od-czepi.

A co do Jutki, owszem, pamiętamy o uchwale kolegów, że jest śmieszny, ale miejsca już po prostu nie starcza! Z tradycyjnych rubryk utrzymujemy dziś jedną jedyną. Lektury przy jedzeniu! Wyjątkowo nie zamieszczamy hasła, a nawet pominiemy winietkę, choć za tydzień winietka znów będzie duża i znów od góry. Chyba że znajdzie się kolejny kandydat na sub-ajenta, któremu z góry za dobre chęci serdecznie dziękujemy.

AJENT

Lektury przy jedzeniu

Oto kolejny przepis zaczerpnięty tym razem z „Kuchni węgierskiej” autorstwa „Mat” Iwaszkiewicz i Stanisława Włodka (Wyd. KAW — 1975 r.). Przy okazji przypomniemy, że nasze przepisy nie są przeznaczone do realizacji (już przy samej lekturze składników kręci się człowiekowi w głowie), lecz wyłącznie do smakowitego czytania.

ROLADA Z BRASSO

Przygotowanie: 30 min.
Pieczenie: ok. 1,5 godz.
Produkty: 800 g łopatkę wołowej • 500 g łopatkę wieprzowej • 350 g cielęciny • 250 g wątróbki wieprzowej lub cielęcej • 300 g wędzonej • 250 g pieczarki • 100 g tłuszczu • 100 g wędzonego • borzku • łyżka posiekanej zielonej pietruszki • 1/2 łyżeczki do kawy pieprzu • szczypta majeranku • 200 g śmietanki • sól i papryka • 250 g ugotowanego ryżu
Mięso rozbić na płaskie platy i posolić. Na placie mięsa wołowego rozsmarować posiekane wędzonkę przykryć platem wieprzowym, posypać posiekanymi pieczarkami i posiekaną pietruszką. Przykryć platem cielęciny, który posmarować wątróbką zmieszoną z wędzonym boczkiem, posypać majerankiem, solą i pieprzem. Następnie wszystko mocno i zgrabnie zrolować, związać bawełnianą nitką, brzoję posmarować białkiem. Potażyc na brylantowej i piec w niewielkiej ilości tłuszczu, podlewając w miarę potrzeby wodą lub wywarem z wędzonej. Zrumienione i miękkie mięso wyjąć, a sok z pieczenia rozprószyć śmietanką, dodając trochę papryki. Pieczeń pokroić ułożyć na półmisku, zalać sosem, ugałnować — ryżem.

KOLUMNA 7B

(bardzo szczęśliwa!)



My i polityka

„Polityka, co wynika z greckiej etymologii tego słowa, oznacza „sprawy państwowe” i wywodzi się od „polites” czyli obywatel. W definicji możemy przeczytać, że polityka to „organizacja, kierowanie i administracja sprawami wewnętrznymi i zagranicznymi państwa”, to — także — „działalność mająca na celu zdobycie, utrzymanie i wykorzystanie władzy w państwie przez daną klasę społeczną albo jej odłam”. Ow obywatel, który jak się okazuje uwikłany jest również w źródłach nazwy, polityka, z założenia będąc adresem i podmiotem działań polityków, najczęściej staje się biernym spektatorem poczyną tych, którzy w jego imieniu (oczywiście) o nim samym decydują.

Wysokie i gabinetowe rejony władzy sprawiają, że zwykły człowiek albo polityką się nie interesuje („mądrzejsi niech decydują”), albo rozeźloną nędzą codzienności robi rewolucję (niejedno jej imię!) i zmienia... polityków. Ale tenże sam obywatel chciałby myśleć o polityce — i zazwyczaj myśli — w kategoriach wpajanych mu przez całe stulecia słowami praw, humanistów, pisarzy i nie pisarzy kodeksami moralno-etycznymi, naukami pedagogów społecznych, tych świeckich i nie tylko, czyli w kategoriach nazywanych sprawiedliwością, równością, braterstwem ludów, wolnością „naszą i waszą” itd. itd. Tym bardziej, iż świat po kolejnych kataklizmach ponawia rozmaite przemyślenia („święte”), ententy („serdeczne”) i wzajemne zapewnienia. One właśnie mają budować zaufanie do polityków i polityki w ogóle.

Pohelski spókoj, w ramach którego miniaturowano wszelkie spory, te zewnętrzne i te wewnętrzne, miał być dla Europy stabilnym układem stosunków międzynarodowych. Wydawał się być zwycięstwem polityków i źródłem wiary w tzw. lepszą przyszłość dla zgromadzonych przez ekonomistów obywateli.

Po sierpniu, który choć miał być finałem stał się początkiem naszego wewnętrznego kryzysu, Polskę wepchnięto na środek areny politycznej. Właśnie światowe przetargi polityczne narzuciły nam, konieczność myślenia w kategoriach „spraw państwowych”. Bez zbytniej przesady można by powiedzieć, że gdyby np. „Książka i Wiedza” wydała podręcznik „Mały polityk”, byłby to bestseller dla wszystkich czytających Polaków. Po znacznej części, jak się miało okazać potem, ta codzienność i ta wielowa polityka była megalomanią, perspektywą opotków i szermierką ideami jakże nierealnymi w kontekście przetargów polityki światowej. Zresztą jej nosiciele i twórcy wypowiadając te same hasła i slogany mówili jednakowoż różnymi językami, a szary obywatel, ten naiwny idealista, mógł co najwyżej domniemywać jakie cele i jakie strategię stoją za tymi hasłami.

Czy po Grudniu, kiedy władzę w Polsce — „opinia światowa” ubrała w kostium czarnego charakteru przestaliśmy politykować? Nie! I to dobrze. Żle natomiast, że wielu, może nazbyt wielu, w bezkrytycznym i bezrefleksyjnym poszukiwaniu politycznego autorytetu, zwróciło się ku światowej ostoje praw człowieka, demokracji i strażnika praw obywatelskich. Pamiętam, jak na festiwalu filmowym w Krakowie, w czerwcu bieżącego roku, jeden z zachodnio-niemieckich uczestników próbował się dowiedzieć, co miały oznaczać rzęsiste okłaski na rzecz Ronaldę Reagan, który mignął na ekranie w jakimś

bodaj fińskim, filmie. „W RFN widownia na pewno by gwizdała” — dodawał zdeorientowany — „zwłaszcza ta inteligentka, festiwalowa”.

Przykłady amerykańskiej polityki wobec Iranu, najpierw tego cesarskiego, a potem rewolucyjnego, wobec Chile, wobec krajów Środkowej Ameryki, a ostatnio Bliskiego Wschodu mogłyby być snem wariata, gdyby nie były rzeczywistą tragedią tysięcy ludzi. Oto Izrael, najbliższy sojusznik Stanów Zjednoczonych z tamtego obszaru, wspierany przez nie ekonomicznie i uzbrojony w najnowocześniejszą broń, napada na sąsiedni Liban, bombarduje, pali i zabija. Waszyngton, „zaskoczony” tym faktem wysłał swego przedstawiciela z misją pokojową, która tak naprawdę służy jedynie najedźcy. Po powrocie, wita się Habbiba jak bohatera, który uratował pokój i proponuje jego kandydaturę do nagrody Nobla, notabene tej samej, jaką otrzymał był przed kilkoma laty urzędujący obecnie premier Izraela! A po kilkunastu dniach w Bejrucie dochodzi do nieudzielnej eksterminacji tysięcy Palestyńczyków, zbrodni która wstrząsnęła opinią całego świata. Prezydent Stanów Zjednoczonych wyraził swoje ubolewanie na wiadomość o bejruckiej masakrze — donosi nam nie bez dumy „Głos Ameryki”.

Działania polityków przypominają zasady Kalego, bo jak inaczej rozumieć informację, przekazaną przez wspomniany „Głos Ameryki” o wizycie prezydenta Marcosa w Waszyngtonie. Uznawszy go za najwerniejszego przyjaciela Stanów Zjednoczonych w Azji, stwierdzono, iż stan wyjątkowy, jaki wprowadził w swoim kraju, przeciwdziała anarchii i w rzeczywistości służy zabezpieczeniu praw człowieka i swobód obywatelskich!

Doktryna Kalego zawsze w polityce amerykańskiej obowiązywała i nie trzeba być zawodowym politykiem, aby każdego tygodnia widzieć to wyraźnie. Wysłuchując żalów nad losem górników pracujących w wolne soboty i szlachetnych trenów, w których „Solidarność” bywa odmienną przez przypadki, nawet te, jakie w języku polskim nie istnieją (polszczyzna nie jest najmocniejszą stroną „polskiej” rozgłośni) spróbujmy zrationalizować waszyngtońskie perswazyje — polityczne 60 minut na godzinę.

GRZEGORZ GAZDA

2

**Spojrzenie
znad
szachownicy**

Przy tablicy

Wywołany przez Krzysztofa Drzewieckiego do tablicy (tym czytelnikom, którzy przekornie zwykli przeglądać pismo do końca, spieszę wyjaśnić, iż interesujący nas tekst z nieodłącznym CZYLI w tytule znajduje się na str. 8 niniejszego numeru „Odgłosów”) rad nie rad muszę się przyznać. Tak to prawda, napisałem w życiu kilkadziesiąt czy może nawet więcej tekstów piosenek, a niemal wszystkie były nie tylko grzechem młodości, ale i plodem autorskiej spóki.

Spółki bywają różne: aktywne, polonijne, z ograniczoną odpowiedzialnością, a nawet — być może — bez żadnej odpowiedzialności, ale na tym akurat nie znam się ani trochę. Mogę natomiast powiedzieć, że jeżeli kilku szachistów zechce „współ-zespół” zmierzyć się ze znanym mistrzem, to takich szachistów nazwiemy uczenie KONSULTANTAMI. Konsultanci mogą draapać się po głowie, myśleć zbiorowo i

z osobna, wymieniać uwagi, a nawet ze sobą kłócić, nie to im jednak zazwyczaj nie pomaga i z reguły dostają baty. Jeden wybitny szachista umie jednak więcej, niż kilku czy choćby kilkunastu zespoleńców fuszerów; w tym akurat przypadku ilość dumających głów nie przechodzi w jakość wykonywanych posunięć.

2.

Ze spółkami autorskimi jest nieco lepiej, w dramaturgii dawały niekiedy niezłe wyniki, że wspomnę Caillaveta i Fiersa, czy — z rodzimych autorów — Gozdawę i Stepię (chciałem jeszcze dopisać Jasnorzewską-Pawlikowską, ale w porę sobie przypomniałem, że to jedna osoba i do tego kobieta).

Mnie, czy raczej nam, sżo natomiast rozmaicie, nie ma się czym zbytnio chwalić, sama technika wydaje się natomiast być obiecująca. Nie jest bowiem, wbrew pozorom, tak: jeden z autorów powiada: — Wiesz, stary, może byśmy napisali o jakimś żyjątku! Takie biedronczki. — Są w kropeczki — wola ten drugi — Genialne! Mamy nawet rym wewnętrzny! — Rym wewnętrzny to my mamy — w lot chwytamy pierwszy — ale ojedzie się bez „takie”. „Biedronczki są w kropeczki” będzie króćce i bardziej biedronkowo.

Otóż ten zmyślony dialog ani trochę nie odpowiada rzeczywistości. Czasami zaczyna tekst jeden z autorów, a gdy się na czymś zatnie — kończy drugi. Częściej cały tekst wychodzi spod jednego — choć nie stale tego samego — pióra, psim obowiązkiem partnera jest jednak bezlitośnie wybrzydzać. A że prozodzie kuleje, a że rymy częstochowskie, a że metafora garbata. Wybrzydzać proponuje poprawki, poprawiany broni swego, ale też głowkuje, no i tak targ w targ czasem coś z tego wyjdzie. Spółka autorska stanowi wtedy coś w rodzaju podwójnego, zabezpieczającego siła, przydatnego zwłaszcza dla autorów o „niewielkim samokrytycyzmie, bądź też zniechęcających się zbyt łatwo.

3.

Piszę o tym bez przekonania, bo w przypadku twórczości wszelkiego typu „instruktaże” — acz niekiedy „interesujące w lekturze” — zdają mi się dziwnie mało przydatne. Można opanować technikę, ale talent trzeba po prostu MIEĆ.

Krzysztof Drzewiecki wcale szczegółowo próbował i próbuje wprowadzać czytelników w tajemniczy świat piosenki, ale nie bardzo jakoś wierzę, że z tego nowych twórców przybędzie. Przybywa natomiast grymasników twierdzących, iż nasz autor zbyt wiele i często pisze o sobie.

Tu go obronę i to pozwólę się na Mistrza, który powołał się na jeszcze innego Mistrza. Melchior Wańkowicz we wstępie do swojej książeczki „Prosto od krowy” mówiącej o technice reportażu, kreśli takie zdania:

„Heywood Campbell Broun, autor reportażu autobiograficznego pt. „Antony Comstock”, nagrodzonego pierwszą nagrodą „Literary Guild”, spytany, dlaczego tyle pisze o sobie, odpowiedział: że na ten temat jest największym autorytetem światowym. Ze Proust na pewno byłby ciekawszym obiektem, ale on mało może o Prouście powiedzieć.”

4.

Cytat zdaje się być celny, parę razy w życiu już mi się przydał, teraz niech posłuży kolede. Z kolegi kolega — wierzę, iż prostymi chodzącymi drogami — przeszedł chyba cokolwiek w felietonów sprzed dwóch tygodni, stwierdzając — za anonimowym rozmówcą co prawda — iż odkrył „wszystkie tajemnice naszego zawodu”.

Prócz świata piosenki istnieją półświatka, a obok prostych dróg do kasy ZAKS wiodą również kręte, zacienione ścieżki. Sporo urlopowaleń, może coś przegapiłem, ale ja-

koś nie przypominam sobie niczego o „lewych listach” sporządzanych po lokalach gastronomicznych, ani — powiedzmy — o takich dyrektora-ach od nagród, którzy lubili swego czasu być jakąś własną piosenką umieszczaną na płycie razem z wyłansowanym już szlagierem. Płyta szła, bo szlagier był w modzie, ale autorzy knotu też mieli przecież swoją rolę.

Wiem dobrze że podobne zarzuty dość trudno udowodnić, można narazić się na proces i inne nieprzyjemności, są jednak tematy mniej skandalizujące, a też ciekawe. Na przykład taka mała zagadka z pogranicza psychologii twórczości i ekonomii: skoro w Polsce tantiemy biorą autor tekstu i kompozytor, zaś aranżer i wykonawca już nie, to czy ma to jakieś artystyczne konsekwencje i — dajmy na to — jakie?

No i zamieniliśmy się miejscami, teraz Krzysztof stoi przy tablicy.

JERZY P.

3

**Lewym
okiem**

Ewolucja poglądów

Kto czyta dokładnie czasopisma, a nie tylko prasę codzienną, ten zauważył zapewne dość śmieszny wymianę zdań na temat orla polskiego: czy go koronować, czy nie? Na użytek tych, którzy nie czytają, streszczamy ową burzę w szklance wody:

„Głos Szczeciński” (mniejsza o datę, sprawa już zamknięta) w jakimś artykule wspominał, że działacz „Solidarności”, Marian Jurczyk, wysunął postulat przywrócenia korony w naszym państwowym godle, tzn. przywrócenia godła w jego postaci z 1938 r.

Na to w „Życiu Warszawy” ukazał się list rzekomo nadesłany przez pośia i pisarza, Janusza Przymanowskiego, że to on pierwszy, a nie Jurczyk, żądał ukoronowania orla. „Polityka” dodała od siebie, że nie Przymanowski był pierwszy z koroną, tylko Bolesław Chrobry. „Przegląd Tygodniowy” dorzucił oprócz Chrobrego Władysława Łokietka, gmatwując całą historię, bo przecież dwóch pierwszych nie mogło być, mógł być tylko jeden.

A potem pułkownik Przymanowski oświadczył, że żadnego listu nie pisał, i że ktoś popełnił jego kosztem mistyfikację. Koniec sprawy.

Od siebie moglibyśmy dodać, że korona w godle polskim raz była, raz nie była, i że to nie komuniści usunęli ją pierwszy. W roku 1919 Minister Spraw Wewnętrznych, ludowiec Stanisław Thugutt, kazał usunąć koronę, która pojawiła się w godle Odrodzonej Polski. Pojawiła się, mimo że legioni Piłsudskiego, które otoczyły się przecież legendą prawdziwych wkrzesicieli ojczyzny, nosiły czapki z orłkami bez korony. Takiego orzekał nosić aż do śmierci, na swę słynnej maciejówce, marszałek Piłsudski, którego bezkrytyczny kult usiłują wskrzesić niektórzy działacze z tzw. opozycji. Ci sami, którzy najgłośniejsze upominają się o koronę.

Chrobry i Łokietek byli jak wiadomo Piastami. Jan Ślęzak (Zbigniew Mitzner) napisał w jednym ze swych powojennych felietonów („Szpilki” nr 10 z 1948 r.), że orzeł piastowski nie miał korony, bo Piastowie byli lennikami cesarza niemieckiego, i zyskał te korony dopiero wtedy, gdy lennikami być przestali, tzn. w roku 1025 (koronacja Chrobrego). Czyli ściślej należałoby mówić o naszym orle, że jest orłem wczesnopiastowskim, bo ten później, szty, po roku tysiąc dwudzie-

stym piątm, już koronę nosił, mimo że dopiero bulla papieża Innocentego II w 1136 roku przesądziła całkowitą niezależność polskiej hierarchii kościelnej od metropolii magdeburskiej; tak to wtedy było, że zależności świeckie były odworowaniami zależności kościelnych.

Tyle o orle, którego dalsze losy jeszcze mogą ewoluować, jak wszystko na tym świecie. A teraz o inżynierach.

„Polityka” z 28 sierpnia br. streszcza wyniki sond socjologicznych, przeprowadzonych w środowisku inżynierskim w roku 1980 i 1981. Za pierwszym razem (przed wydarzeniami sierpniowymi) wynikało, że aż 65 proc. inżynierów uważa za najbardziej godną zachodu, za osiągnięcie życiowe, taką pracę, która nosi znamiona władzy, kierowania, rządzenia materią i ludźmi.

Za drugim razem, w połowie 1981 roku, taką samą większość 65 proc. stanowili wyznawcy poglądu, że najlepsza jest praca wszystkich jedno jako, byle dobrze płatna. Nie przeprowadzono jeszcze badań w roku bieżącym. Sądze, że większość opowie się tym razem za pracą „jakakolwiek, byleby za granicą” — oczywiście: za tą zachodnią granicą. I to jest też ewolucja. Ewolucja poglądów polskiej kadry inżynierskiej.

WŁODZIMIERZ KRZEMIŃSKI (ĆWIEK)

4

**Felieton
pesymi-
styczny**

Kalesony na talony..?

Właściwie wszyscy się tego spodziewali, ale jednak oficjalnie komunikaty zrytowały każdego: buty, rajtuzy i bieleza — na talony. My tu gadu, gadu, szybkie wyjście z kryzysu nam się marzy, ktoś tam znów podjął pracę w soboty, wszystko „zabezpieczone na odcinku” — a tu barchany, „araby” i skarpetki dostaniesz przydziałowe. Jeszcze ci na tym najważniejszym z dokumentów — wkładce zaopatrzenia odnotuj.

Ej, będzie znów wesoło, znów życiowych fajerwerków nam przybędzie. Bo chyba nikt nie wierzy, że ta operacja przeprowadzona zostanie gładko i bezboleśnie. Z ery kamienia łupanego z trudem, ale jednak się wyrwaliśmy i jak tu teraz zaspokoić ludzkie gusta i guście? Jak rozwiązać „drobiazg”: sprawę numeracji, fasonów, kolorów? A jak chcą trzy pary skarpet to mogą zrezygnować z przydziałowego kożucha czy nie? Można by mnożyć takie pytania, o których jeszcze niedawno nawet się nam nie śniło. Chyba, że wszyscy otrzymamy jednakowe mundurki, filcowane butki i ciepłe majtasy. Będziemy się jeszcze trochę odróżniać? Do czasu, gdy wprowadzi się krawaty i apaszki na talony...

Niech mi też nikt nie wma-wia, że buty na kartki mają zapobiec spekulacji. To dobre tłumaczenie dla rodaków co jeszcze z obuwia na szydełku robionego korzystają. Przecież doskonale wiadomo, że natychmiast ruszy handel... talonami. Dotychczas „babcia” przed sklepem odstępowała potrzebnym swoje przydziałowe pół litra, obecnie chętnie odpreda- da wyjściowe kozaczki z ciele- ckiej skórki...

Sprawa jest na pewno bardziej skomplikowana niż z reglamentacją masła czy papierosów, ale wszystko zakawa jednak na zdjęcie — choć częściowe — odpowiedzialności z przemysłu i handlu. Niemożliwość producenta i dystrybutora przysłać ma obecnie nieuchronny cyrk z rozdaniem obuwia i odzieży.

Obecnie nastąpi pięć minut przerwy, w czasie której miłośnicy nowej formy zaopatrzenia ludności wystąpią z tyradą obronną. Na poczesnym miejscu znajdują się tu „trudności obiektywne”, „kłopoty surowcowe”, brak „wsadu importowego”, wdrażanie reformy, kiepscy kooperanci i wszelkiego rodzaju przeciwnie wiatry oraz rzucone pod nogi kłody. Ale nie przejmujcie się kochani! Kłopoty dopiero przed nami. A spekulacja będzie kwitła nadal. Bo jedyną na nią metodą jest zapewnienie przyzwoitego zaopatrzenia sklepów. Bez tego wszelkie antyspekulacyjne działania będą zawsze walką z wiatrakami. Chyba że za handel reformami grozić będzie kara śmierci...

Tak czy owak, by zakończyć obuwiczny temat, nie grozi nam chyba dyskwalifikacja, jaka spotkała naszego mistrza olimpijskiego — Jacka Wszołę. Zamienili sympatyczny pan Jacek przepisowe addasy na jakieś inne (chyba nie gorsze?) i za karę przez rok nie będzie startował. Może go uwierali te addasy? Nie nasz w sumie kłopot, ale fakt faktem, że reglamentacja sięgnęła już i olimpijskich championów. A swoją drogą jakie konsekwencje zostaną wyciągnięte w przypadku bosego faceta, który odmówi kupna przydziałowych butków z „Chelmka”, bo mu się będą marzyły lepsze, ze słupskiej „Alki” choćby?...

Cale szczęście, że narodek jesteśmy zdolny, co to z jednego pieca chlebaś jadł i „jak chce — to potrafi”. Najnowszy przykład dali pracownicy Zakładu Naprawy Samochodów w Brzesku, którzy — jak podał PAP — z części odpadów wytwarzają... traktory. Są podane i szczegóły „konstrukcyjne”: skrzynia biegów z „Warszawy”, opony tylne od kosiarzki, a silnik ze strażackiej motopompy. Załoga odgraża się, że gdyby mieli akumulatory to podjęliby serijną produkcję! Cale szczęście, że z akumulatorami krucha, a i strażackiej motopompy zwykle dobrze jeszcze służą swoim właściwym celom. Gdyby tych elementów było pod dostatkiem, załozde „Ursusa” przedko by widmo plajty zajało w oczy. A swoją drogą cóż to za kłopoty, czyżby złote rączki z Brzeska nie umiały wykorzystać zużytych baterii z latarek? Nawet nie zastrzegam sobie praw autorskich, niech już robią te cudne traktorki odpadowe. Tylko jak tak dalek pojździe, a przykład zarażali, to pracownicy punktów skupu surowców wtórnych skupią z torbami (pasty-mi). Ież to doskonałych, użytkowych przedmiotów wykonać można ze smat, miakulatury i pęczka drutów!

Dziwnym jakimś przypadkiem losu ta bynajmniej nie primaaprilisowa informacja nie znalazła się w serwisie dziennika telewizyjnego. Ostatnio odnosi się wrażenie, że największym, życiowym problemem dla za-siadających pod szydełkiem Dziennika Tv jest sprawa wywołanego sygnału. Ież prób, przmyśleń, kombinacji, wychodzenia naprzeciw sugestiom telewidzów! Zmieniają się na świecie rządy, koalicje, tu krwawe walki, gospodarcze przemiany, tam tragiczne wydarzenia, katastrofy, a na szklanym ekranie — globus w prawo i jakiś wesoły „kawałek” (Czajkowski?), albo plan-sza z kontynentami w lewo i inna muzyyczka („Taniec z szablami”) To są te ważne tematy! A teraz siadaj telewidzu i napisz list, która propozycja bardziej ci przypadła do gustu. Jutro przedstawimy ci kolejne. Przecież i tak nie masz żadnych kłopotów na głowie, więc pisz, wybieraj, czekamy na Twoje zdanie...

Nazywa się to pełnym zwycięstwem formy nad treścią. A warto by chyba jeszcze zastanowić się nad ustawieniem stołów, kolorem telefonów, systemem przekładania kartek. W końcu to ważne czy odkłada się je na lewo, czy na prawo...

STEFAN ŻYCIOWY

Redaguje zespół: Ryszard Binkowski, Dariusz Dorożyński, Eugeniusz Iwanicki, Teresa Jerzykowska, Andrzej Karolczak (sekretarz redakcji), Jerzy Kwieciński, Bogda Madej, Andrzej Markiewicz, Grażyna Olechnowicz (z-ca sekretarza redakcji), Jerzy Panasewicz (z-ca redaktora naczelnego), Igor Sikirski (kier. działu literackiego), Karol J. Stryjski, Janusz Szymanski-Glanc (grafik), Lucjusz Włodkowski (redaktor naczelny), Jolanta Wrońska, Mirosław Zajdler (fotoreporter)

Stale współpracują: Tadeusz Błażewski, Krzysztof Drzewiecki, Grzegorz Gazda, Witold Kasperkiewicz, Włodzimierz Krzeminski, Krystyna Namysłowska, Ewa Pankiewicz, Henryk Sroczynski, Jerzy Wilmański.

Tygodnik społeczno-kulturalny „Odgłosy” al. A Mickiewicza 11, kod 00-438, Łódź. Telefony sekretariatu i redaktor naczelny 632-44 sekretarz redakcji 680-99, publicysty 677-70. Redakcja nie zamawia reklam, nie odpowiada za treść ogłoszeń. Prenumeratę udziela oddział RSW „Prasa — Książka — Ruch” i urzędy pocztowe. Cena prenumeraty rocznej 1040 zł. Prenumerata ze zleceniem wysyłki za granicę przyjmuje RSW „Prasa — Książka — Ruch”. Centrala Kolportażu Pras i Wydawnictw 00-658 Warszawa ul. Towarowa 28, konto NBP XV oddział w Warszawie nr 1153 20145 139. Prenumerata ta jest droższa od prenumeraty krajowej + 50 proc. Jla zleceniodawców indywidualnych i o. 100 proc. dla zlecających instytucji i zakładów pracy. Wydawca: Robotnicza Spółdzielnia Wydawnicza „Prasa — Książka — Ruch”, Łódzkie Wydawnictwo Prasowe, Adres: ul. Piotrkowska 98, kod 90-103, Łódź. Druk: Pracownia Zakłady Graficzne RSW w Łodzi, ul. Armii Czerwonej 28. Nr indeksu 36762. Zam. 1998 F-11.

Przyznał się, że nie ma odwagi, wyznać mojego nazwiska — za długie i za bardzo skomplikowane. Odparłem, że może zadowolę się moim imieniem i dodałem, odpalając mu pięknym za nadobne, że nigdy nie zdolam zapamiętać jego pełnego imienia i nazwiska. Pierwszy obywatel Zairu nie nazywa się bowiem tylko Mobutu Sese Seko. Kompletne określenie jego tożsamości brzmi niemal jak powieść Mobutu Sese Seko Kuku Ngbendu Wa Za Banga. Same tylko ostatnie trzy słowa znaczą: „potężny wojownik, który idąc wznieca ogień i dąży od zwycięstwa do zwycięstwa”. Jest to cały program, chyba, że przyjmijemy to za próbę bilansu.

Wymiana uprzejmości co do naszych imion stworzyła swobodną atmosferę na samym początku mojej dwugodzinnej rozmowy z prezydentem Republiki Zairu. Przyjął mnie w jednym z salonów swej rezydencji, położonej wewnątrz obozu Tshatshi na stoku Ngallema. Później zaprowadził mnie na taras, wychodzący na ogród gdzie puszyły się pawie, z widokiem na majestatyczną rzekę Zair. Przybywszy przed wyznaczoną godziną, zostałem przyjęty niemal natychmiast. Bez swej czapki z lamparciej skóry Mobutu wydawał się jakby bardziej przystępny, mimo surowości nadanej jego twarzy przez okulary. Niedbale rozpięta, różnobarwna kurtka dopełniała obrazu obywatela, jakich wielu. I zaskoczenie — ten człowiek sprawujący niemal niepodzielną władzę na 30 milionami Zairczyków, umie się uśmiechać. Kiedy zdał sobie sprawę z tego, że zaczęliśmy rozmawiać na długo przed ustaloną godziną, wybuchnął śmiechem: „Mam wielką wadę! Nigdy nie patrzę na zegarek”. Nie dowierzałem temu pierwszemu wybuchowi śmiechu, ale byli potem inne — śmiał się do rozpuku (...)

Na samym początku naszej rozmowy, poszedłem na całego mówiąc „Obywatelu prezydencie, czuję się w obowiązku pana przestrzec, że moje pytania nie będą się panu podobały. Wydadzą się panu być może, zbyt bezpośrednie, czasem agresywne, często zuchwale, ale mój zawód polega na stosowaniu pytań”. Przerwał mi „Odpowiem na wszystkie pańskie pytania”. I dotrzymał słowa (...)

Wszystko zresztą co ma do przekazania swoim współpracownikom, to wyłącznie rozkazy — do bezwzględnie wykonania. Twierdzi, że nie podejmuje sam swoich decyzji, ale jedynie prawdziwe decyzje w Zairze pochodzą od Mobutu. Pojęcie wodza jest głęboko zakorzenione w społeczeństwie zairskim i wódz Mobutu jest szczerze zdumiony, kiedy na płaszczyźnie prywatnej ktoś zuchwały czy nieświadomy ośmiela się kwestionować jakiejkolwiek jego żądanie.

Jednakże Mobutu Sese Seko nie spędza czasu tylko na wydawaniu rozkazów. Sam pilotując samolot, robi częste eskapady do swoich majątków w Gbado-Lite. Dogląda swoich plantacji awokado, mango, ananasów, czy też palm olejowych; doi swoje krowy na farmie mlecznej w Ngaza, dając mu 650 litrów dziennie; łowi ryby w swoich sadzawkach. Jak powiada jego bliski, lepiej nie łowić w tym samym czasie i tym samym miejscu, co on — często bowiem ryba nie bierze, co wprawia go w nie najlepszy nastrój. Drugą pasją Mobutu są warcaby. Jest nie najgorszym graczem. Kiedy może, przetrzymuje partnera całą noc, aż go rozłoży na obie łopatki. Nie znosi jednak, żeby pozwalano mu wygrać — ten urodzony zawiadaka nie lubi łatwych zwycięstw. I ta właśnie przebojowość stanowi o jego sile.

Pewien zachodni ambasador, którego rząd bynajmniej nie przykłada do każdego kroku Mobutu, powiedział mi: „To jest bardzo silna osobowość — fascynująca, a nawet przyciągająca”. Zapewne dlatego 52-letni Mobutu Sese Seko sprawuje niekwestionowane rządy od 1965 roku w kraju, który przed nim przeżył najstraszliwszą wojnę domową w dziejach niepodległej Afryki. Narzucił swoją osobowość, władzę, stanowczo i bez upiększeń. Dziwi się nawet że można się go o to pytać. Przecież jest wodzem (...)

— Jest pan bardzo bogaty! Zdaje się, że pański majątek sięga 3 miliardów dolarów!
— Ha, ha ha! Pewien belgijski parlamentarzysta twierdzi, że mam 6 miliardów dolarów. Słyszysz pan?

— Ale nie powie mi pan, że jest pan biedny?
— Ze zdumieniem. Co takiego?

— Nie jest pan biedny.

— Mieszkam gdzieś, jak pan widzi. Jestem jednak niewątpliwie jedynym szefem państwa afrykańskiego, który nie kazał wybudować sobie pałacu Dom, w którym mieszkam, należy do mnie. Mieszkam w nim od 1960 roku. Byłem zastępcą szefa sztabu, później szefem sztabu, a następnie szefem państwa, ale od 1960 roku nigdy nie zmieniałem swego!

— Właśnie do pańskiej fortuny, jeśli pan pozwoli. Przecież nie jest to legenda!

— Proszę posłuchać (uśmiech). Bawia mnie te wasze historie. Za życia mojej żony pozwoliliśmy sobie na kupno paru domów w Brukseli — to prawda. Myśleliśmy o przyszłości naszych dzieci!

— Co pan nazywa „paroma domami”?

— Cztery albo pięć. Ale to przecież nie fortuna!

— Nie posiada pan niczego więcej? Ani planacji, ani akcji spółek zagranicznych?

— Uprawiam ziemię w Zairze. Ale prowadzić uprawy gdzie indziej, mieć zagraniczne akcje... Niby po co?

— Po to, żeby się wzbogacić.

— Ha, ha ha! Naprawdę pan mnie śmieszy! Mam mieszkanie w Paryżu i mam wielkie posiadłości we Francji, szumnie nazwane zamkami; mam wille w Genewie. No i mam ziemię i moje farmy tutaj w Zairze, w Gbado-Lite. Razem mam na nich 90 000 sztuk bydła!

— Pomijając nałektie plantacje, czy nie ma pan koncepcji na eksportację diamentów?

— (Śmiech i zdumione spojrzenie). Ależ ja nie mam nic wspólnego z diamentami! To, co pan mówi, jest niemal chabliwem (...)

— Prasa amerykańska twierdzi, że sprzeniewierzył pan co najmniej 250 milionów dolarów.

— (uśmiech). Nie jestem poinformowany. Jak pan to sobie wyobraża — sprzeniewierzyć? Kiedy Stany Zjednoczone przyznały nam, na przykład 20 milionów dolarów — nie dostajemy, drogi przyjacielu, ani dolara! Wszystko



„Potężny wojownik, który idąc wznieca ogień i dąży od zwycięstwa do zwycięstwa”

Prezydent Zairu Mobutu Sese Seko, należy — delikatnie mówiąc — do postaci wysoce kontrowersyjnych. Warto jednak poznać jego poglądy, które przedstawia w wywiadzie, jaki dla paryskiego tygodnika „JEUNE AFRIQUE” uzyskał Sennen Andriamirado. Wywiad publikujemy ze skrótnymi, wstępnie charakterystyczny prezydenta Mobutu pochodzi od autora.

to dociera do nas w postaci ryżu, kukurydzy, konserw, części zamiennych lub broni. No i wszystko, z wyjątkiem broni, jest sprzedawane do sklepów.

— A co się robi z pieniędzmi pochodzącymi z tej sprzedaży?

— Wpłacamy je na tzw. Fundusz Kontrolny.

— Mówi się, że pan nie rozróżnia kasy osobistej od państwowej.

— (zdumienie). Ależ to niemożliwe! Tym Funduszem administrują wspólnie nasz minister planu i ambasador Stanów Zjednoczonych w Zairze. Nie może pan go tknąć bez zgody obu stron. Zastanawiam się, kto może utrzymywać, że sprzeniewierzam amerykańską pomoc.

— Nie wszystkimi kasami w Zairze administruje się wspólnie z amerykańskim ambasadorem. Ma pan również własne kasy.

— Ależ oczywiście! Zair jest państwem i Zair ma swoje instytucje, swoje mechanizmy kontroli. W 1978 roku parlament zrobił prawdziwy nałot na bank Zairu. Parlamentarzyści ze swoim przewodniczącym na czele, zdjąwszy marynarki i krawaty, kazali sobie pokazać wszystkie księgi Banku! Sprawdził wszystko!

— Czy państwo nie finansuje pańskich ferm? (...)

— Ale one nie są moje. Są państwowe. Owszem powstały z mojej inicjatywy, ale nie należą do mnie. Na początku zainwestowałem w nie 17 milionów dolarów. Kierują tym Żydzi — jak pan sobie wyobraża, że mógłbym tego dotknąć?

— W swoim kraju może pan wszystko.

— Nie! To także rozgłaszanie za granicą. Mówię przecież, że mamy nasze instytucje. Zair jest państwem Mobutu jest szefem państwa — nie jest państwem.

— Obywatelu prezydencie, jaka jest pańska filozofia władzy?

— Ostatnie słowo powinno należeć do szefa państwa. Jestem tym szefem, ale mam współpracowników — Pierwszy Komisarz państwa i Komisarze państwa, tworzą Radę Wykonawczą, innymi słowy, rząd. To oni odpowiadają

za swoje sprawy. Ja interweniuję tylko jako ostatnia instancja (...)

— Stąd kult jednostki, którego pan jest przedmiotem...

— Ha, ha ha! Między nami mówiąc, ten kraj zaznał wojny, jakiej nie znał żaden inny kraj; w latach 1960-1965 zginęło 500 000 ludzi. Temu krajowi jesteśmy winni pokój, jesteśmy winni jedność. Dawniej Zairczyki, przenosząc się z miejsca na miejsce, wszędzie natrafiali na bariery celne. Kraj był poszatkowany na 22 prowincje. Dziś mamy zaledwie dziewięć. Dziś Zairczyki mogą podróżować, gdzie zechcą. Wszędzie są u siebie. No cóż, ludzie wiedzą, że ich wódz przyniósł im pokój i zjednoczył ich. Toteż, mój drogi przyjacielu, naprawdę nie potrzebuję reklamy (...)

— Jakie kontakty ma pan z ludem?

— Coś panu powiem. Sam pan osądzi. W maju 1978 roku dokładnie w czwartek, 18 maja 1978 r. — pojechałem do Kolwezi, w pełni wojny w Szable. Sam pilotowałem samolot dowódcy. Wokół lotniska w Kolwezi jeszcze trwały walki. Wyładowałem żołnierze puścili się biegiem do mnie, otoczyli mnie, całowali mnie! Nie można ich było powstrzymać!

— Niezego pan nie ryzykował. Lotnisko zostało uprzednio oczyszczone!

— (oburzony). Co takiego? Odbito i oczyszczono lotnisko po moim odlocie.

— Jeśli przyzna pan pewną odwagę fizyczną, to widzą w panu również autorytatywnego wodza.

— (szczerze zdumiony). Jak pan sobie wyobraża kierowanie tym krajem bez autorytetu? Czy pan wie że tu była wojna? Czy pan wie, że mamy tutaj ponad 450 ludów? Jak pan chce rządzić takim krajem bez stanowczości? (...)

— Czy można mówić o demokracji w Zairze?

— Ależ oczywiście! Kiedy byli tutaj Belgowie, nigdy nie pozwolili głosować kobietom. Przyszedł Mobutu. Mamy referendum konstytucyjne. Po raz pierwszy kobiety głosują w kwietniu 1987 roku. W kwestii praw kobiet nie można oświecić, żebyśmy byli na ostatnim miejscu w Afryce.

— A w kwestii praw człowieka?

— Niech pan zaczeka, proszę mi dać skończyć. W chwili uzyskania niepełnoletności nie było nawet 10 Zairczyków z wyższym wykształceniem. W ubiegłym roku wyższe szkoły ukończyło 400 Zairczyków. Ci Zairczyki, którzy Belgowie w 1960 roku zostawili na poziomie szkoły podstawowej, opanowali pilotaż samolotów DC-10 przed Belgią i wylądowali na międzynarodowym lotnisku w Brukseli przed Belgią! A więc? Czy to nie wspaniały postęp? (...)

— Libia zerwała stosunki z Zairem!

— Właśnie przypomniałem to wysłannikowi Kadafiego. Oświadczył mi, że nie chodziło o zerwanie, lecz tylko o zamknięcie ambasady Libii w Kinszasie. Może pan jednak sprawdzić. Nie jest zamknięta. Ambasada działa. Jest chargé d'affaires.

— Kadafi wezwał naród zairski do powstania przeciwko Mobutu.

— Ludzie się tutaj z tego śmieją! Ja, pierwszy. Znając mojego brata, Kadafiego, nie wziął jego wezwania na serio (śmieje się).

— Co pan myśli o Kadafim? Czy on jest taki szalony, jak mówią?

— Byłem już u niego dwa razy. Nie mogę jednak nazwać kolegi szalonym. Każdy naród ma przywódcę, na jakiego zasługuje.

— Nie boi się pan Kadafiego?

— (wstaje, zdumiony). Bać się? A niby, dlaczego? (...)

— Dlaczego nie potępił pan natychmiast izraelskiej inwazji Libanu?

— To bardzo istotne pytanie. Nie potępiłem natychmiast inwazji na Liban, ale byłem pierwszym, praktycznie jedynym szefem państwa afrykańskiego, który potępił natychmiast zajęcie Wzgórz Golan. W tej sprawie nie muszę być zawsze rzecznikiem Afryki. Niech pan zada to pytanie innemu szefowi państwa!

— Ale ponieważ wznowił pan stosunki dyplomatyczne z Izraelem, Izrael leży się o wiele bardziej z panem, niż z innymi.

— Myślę, że błąd polega na tym, iż sądzi się, że zawsze trzeba mówić, krzyczeć na cały głos, ale ponieważ wznowiliśmy normalne stosunki z Izraelem, mogę pozwolić sobie na pewne działania o charakterze dyplomatycznym, których nie widać. To wszystko (...)

— Czy nie odnosi pan wrażenia, że wznowiając stosunki dyplomatyczne z Izraelem, Zair wchodzi się do porozumienia o koordynacji strategicznej i politycznej między Izraelem, Stanami Zjednoczonymi i Południową Afryką?

— Od razu powiem panu, że nie. Jest to pogląd rozwijany i broniący przez JEUNE AFRIQUE — Izrael to Południowa Afryka, przyjaciele Izraela są przyjaciółmi Południowej Afryki (z naciskiem). Mnie to nie dotyczy. Jest to problem JEUNE AFRIQUE.

— Jak przebiegało pańskie spotkanie z Reaganem?

— Bardzo dobrze. Był bardzo miły, a nawet zwracał się do mnie po francusku.

— Mówi po francusku?

— Nie, nie mówi po francusku, ale zapamiętał kilka oderwanych zdań w tym języku z czasów, kiedy był aktorem i nakręcił parę scen we Francji.

— Według prasy amerykańskiej, Reagan nie zna się na tematach, które porusza.

— Nie jestem Amerykaninem. Trudno to osądzić. Jest to prezydent pierwszego mocarstwa na świecie. Cieszy się zaufaniem narodu, który go wybrał przytaczającą większością głosów.

— A Mitterand?

— To coś zupełnie innego. Był przywódcą opozycji. Jego partia zajmowała bardzo wyraźne stanowisko w sprawie stosunków między Francją a Afryką.

— Kiedy socjaliści byli w opozycji, bynajmniej pana nie oszczędzali.

— Odkąd są u władzy, stwierdzam, że jest wprost przeciwnie. Wszystko rozwija się bardzo, ale to bardzo dobrze, i nowy rząd idzie nawet dalej w tym, co dla nas robi, niż stary.

— Na przykład, współpraca wojskowa.

— Ta się utrzymuje.

— A współpraca gospodarcza umacnia się?

— Tak jest. Mogę panu dać przykład. Poprzedni rząd Giscarda miał nam dostarczyć 2 000 ton pszenicy. Ładunek ten miał zabrać z jednego z francuskich portów statek zairski. Dochodzi do władzy Mitterand i podejmuje decyzję: „Potwierdzamy 2 000 ton, ale dowieziemy je statkiem francuskim aż do samego portu Matadi”. Było nie było, jest różnica.

— Pomówmy o Belgii.

— I co powiem? Nigdy żaden były kraj kolonizatorski nie uwzględnił się do tego stopnia na swoją dawną kolonię. Belgowie nigdy mi nie przebaczyli nacjonalizacji miedzi. Państwo belgijskie odpowiada za wszystko, cokolwiek złego dzieje się w Zairze. Gdyby nie istniało państwo, które nazywamy dziś Belgią, sądziłbym, że w moim kraju w ogóle nie byłoby działalności wyrotowej, ani prób destabilizacji!

— Zna pan swoich opozycjonistów w Belgii?

— Opozycjonistów? Raczej frustratów, którzy zabawiają tamtejszą publiczność. Muszą czytać prasę belgijską, żeby sobie przypomnieć, że istnieje jakiś Nguzu, czy jakiś Mungul Diaka. Ja o nich zapominałem. Nie mam czasu o nich myśleć. Ma pan jeszcze jakieś pytania?

— Ostatnie Zair jest jednym z dwóch, trzech krajów afrykańskich o ogromnych możliwościach z punktu widzenia geograficznego, demograficznego, ekonomicznego. Jak pan spożytkował — pan, panie prezydencie — te możliwości i jak pan zamierza je wykorzystać obecnie?

— Mam wszystko, z wyjątkiem ropy naftowej i to nas kosztuje 22 miliony dolarów miesięcznie — żeby zaopatrzyć kraj. Kiedy obejmowałem władzę, ocaliliśmy 6 milionów dolarów miesięcznie.

— Nie odpowiedział pan na moje pytanie. Zair jako wielkie mocarstwo — ile trzeba czasu, żeby się to udało?

— Idziemy naprzód spokojnie, powoli, ale w spokoju. Powołaniem mojego kraju jest być jutro w samym sercu kontynentu afrykańskiego, wielkim krajem na swoją miarę.

— Ryzykujecie że będą wam zazdrościć.

— Dlaczego?

— Będziecie zbyt potężni.

— Pomyślnie rozwijający się Zair to bra rzecz dla Afryki, Zair, w którym sprawy nie idą jak trzeba — wprost przeciwnie.